AS



Nr. 18

30 KWIETNIA 1939 R.

CENA 40 GROSZY

NIEBEZPIECZNA KOBIETA

Artystka filmowa Ann Sheridan

ZAKOCHANY

L. K. SOSNOWSKA

SZKIC

Zbudził się o szóstej rano. Zanim jeszcze rozglądnął się i oprzytomniał, odezwała się w nim świadomość gorącą falą, że to właśnie dziś ma się z Nią spotkać. Przypomniał sobie jej słodką, uśmiechniętą twarzyczkę i radość przepełniła mu serce.

— Jeszcze 12 godzin — szepnął — jeszcze 12 — i pogrążył się w rozmyślaniach... Ale potem już jej nie puści więcej od siebie i wszystko jej dzisiaj powie, wszystko: że ją kocha gorąco, że bez niej nie wyobraża sobie dalszego życia i że już dłużej nie może na nią czekać, bo niepewność i każda rozłąka staje się dla niego udręką nie do zniesienia. Dziś jej to powie, dziś!

Spojrzał na zegarek. Jeszcze przeszło 11 godzin! Boże, jak te wskazówki wolno się posuwają! Możeby je tak pchnąć? Uśmiechnął się łobuzersko, złapał zegarek, nakręcił go i popchnął wskazówki o całą godzinę na przód... — Teraz będę jej bliższy, będzie mi się zdawało, że krócej muszę czekać!... A tymczasem do biura!

Zerwał się i począł szybko ubierać.

— Ach, to biuro — rozmyślał — ciągle to samo. Pędź człowieku nieprzytomny z pośpiechu, siedź potem 8 godzin w szarym od dymu i zaduchu pokoju, ujadaj się z klientami, drżyj przed kaprysami szefa... jakież to wszystko wstrętne i beznadziejne! Ale za niedługi czas inne go czeka życie, praca nie będzie mu już taka przykra, boć przecież pracować będzie dla niej! A kiedy wróci do domu po tylu jałowych godzinach, jakaż miła czekać go będzie nagroda w postaci jej drogiego uśmiechu i słodkiej pieszczoty.

W biurze jakby na złość zwaliła się dnia tego cała falanga klientów, ścisk, hałas, nerwowy pośpiech, gorączka pracy. Zapomniał o wszystkiem, o godzinach, o niej. Praca pochłonęła go bez reszty, siły umysłowe wyssała do ostatka.

Nareszcie skończyły się godziny urzędowania. Otumaniony, wyczerpany, wyszedł na ulicę, mrużąc oczy pod jasnym strumieniem słońca. Dopiero teraz uświadomił sobie, w jakim mroku, zaduchu i wirze pracował. — Odetchnął pełną piersią, zaciągnął się świeżem powietrzem jak narkotykiem, odprężył się wewnętrznie i przyspieszył kroku.

— Przecież to wiosna, wiosna — uświadomił sobie nagle — taka świeża, taka promienna i taka radosna, jak ona. Ona, ona! Odwrócił myśl od przebytej pracy i w jednej chwili znów całą jaźń jego wypełniła Ona. Tak! Dziś o szóstej!

— Trzeba zjeść obiad, przebrać się, iść do fryzjera — wyliczał w myśli — trzeba się przecież zrobić pięknym. A potem już razem! Przesunęła mu się w pamięci jej uśmiechnięta twarzyczka i szepnął z rozczuleniem:

— Moja, maleńka, jedyna.

Po obiedzie pobiegł do fryzjera, nie zachowywał się jednak spokojnie, jak zwykle. — Fryzjer, który go stale czesał, nie mógł mu dzisiaj dogodzić. Ciągle zdawało mu się, że fryzura nie jest taka, jaką ona chciałaby u niego widzieć. Przerzucał niecierpliwie dzienniki, ale nie mógł zrozumieć treści czytanych artykułów. Ze zniechęceniem odrzucił je, niecierpliwie czekając końca zabiegów. Spojrzał na zegarek i zerwał się gwałtownie z krzesła.

— Boże, wszakżeż to za parę minut szósta, a przecież jeszcze muszę jej kupić kwiatuszków!

Wybiegł szybko i roztrącając przechodniów, dopadł kwieciarni, kupił bukiecik fiołków i z szybkością, której nie powstydziłby się samochód, popędził na umówione miejsce spotkania. Zdyszany, nerwowo wyciągnął zegarek. Wskazówka stała właśnie na szóstej. Rozejrzał się niespokojnie dokoła.

— Chwała Bogu, niema jej jeszcze. Mogłaby się obrazić, gdybym jej pozwolił czekać na siebie.

Wolnym krokiem począł spacerować. Gdy jednak upłynęło parę minut, krok jego stawał się coraz szybszy i niecierpliwszy. Rozglądał się naokoło, co minutę niemal spoglądał na zegarek.

— Żeby też kiedy była choć jedna kobieta punktualna — pomyślał z uszczypliwością po kwadransie czekania — biorą się do studjów, chcą obejmować odpowiedzialne stanowiska, ale punktualność dla nich nie istnieje. A może się spotkała z jaką koleżanką po drodze? Całkiem możliwe, boć przecież dwie kobiety nie przejdą koło siebie, żeby choć paru minut nie poświęcić uwagom o swoich bliźnich... Naraża go na tak długie daremne czekanie... Oczywiście za pewna jest, że nie odejdzie, że będzie czekał pokornie, ale się może pomylić w rachubach. Oho, takim znowu nie jest. Niech nie myśli, że pozwoli się lekceważyć, że jej będzie we wszystkiem ulegać!...

Pomimo tych pogróżek, czekał jednak dalej, coraz to szybciej kołując i coraz bardziej mnąc trzymane w ręce kwiaty.

— A jeśli spotkała kolegę ze studjów? — Ale wnet się otrząsnął. — Nie, ona do zawodowych flirciarek nie należy, wie przecież, że on czeka, a on dobrze czuje, że nie jest jej obojętnym. Powiedziały mu to przecież dobitnie jej niedawne pocałunki. Dreszcz wstrząsnął nim na to przypomnienie i znów spojrzał na zegarek.

— Już pół godziny czekam — monologował w myśli — a jej niema. Musiała po drodze spotkać jakiegoś mężczyznę! Pewnie tego kolegę Antka, którego tak kiedyś chwaliła, że dobry i sympatyczny chłopiec, że go lubi, a on się w niej podkochuje. No, ale mówiła, że mnie tysiąc razy więcej woli od Antka. Woli? Któż może zbadać i przeniknąć kobietę? Czyż świat nie roi się od przykładów kobiecej zdrady i obłudy?! A i ja sam, kiedy chwaliła Antka, powiedziałem: „owszem, miły z niego chłopak". Ach, jakiż ze mnie dureń skończony! Pewnie sobie gdzieś siedzą z tym „miłym chłopakiem" i zaśmiewają się z mojej głupoty, a ja osioł sterczę tu z kwiatami!

Z nagłą odrazą spojrzał na fiołki i z zamachem rzucił niemi o ziemię, wprost pod nogi jakiejś staruszce. Zdziwiona, spojrzała na niego, ale nie zauważył tego, nie czuł też wcale, że coraz więcej przechodniów zwraca na niego uwagę. Jeszcze raz wyciągnął z kieszeni zegarek. Właśnie dochodziła siódma. Zawirował mu świat przed oczami.

— Podła zdrajczyni! — wyrzucił z zaciśniętych warg i jak opętany rzucił się w boczną ulicę.

* * *

Wieczorem nie mógł pracować ani czytać. Myśli jego wirowały dokoła jej osoby, był niezdolny do niczego. Poszedł do knajpy i w towarzystwie kolegów szukał w kieliszku zapomnienia. Nad ranem wrócił do domu, na stole leżała kartka:

„Czekałam na ciebie blisko godzinę daremnie. Zlękłam się, czyś nie zachorował. Pytałam się twej gospodyni, lecz nie umiała dać wyjaśnienia. Pełna jestem obawy o Ciebie, daj zaraz znać, co się z Tobą dzieje? — Twoja Lili.

— „Twoja Lili" — powtórzył — „twoja". Zaśmiał się ironicznie. Godzinę blisko czekała... Jak kłamać, to już dobrze. „Twoja Lili!" podarł kartkę, rzucił na ziemię i panując już nad sobą, zaszlochał gorzko.. Uspokoił się po pewnej chwili. Czuł, że nie zaśnie już przy białym dniu, coś gnało go z domu z przemożną siłą. Poszedł do parku miejskiego. Był cudowny, ciepły i słoneczny poranek, ale piękna przyroda zamiast uspokoić, drażniła go niewypowiedzianie. Cóż bowiem mogło mu przyjść z tych wszystkich uroków, jeśli jego Lili okazała się tak zdradziecką? Najgorsze jednak było przeświadczenie, że pomimo całej swej rozpaczy i oburzenia, kocha ją jeszcze ciągle gorąco i że nigdy nie będzie mógł o niej zapomnieć.

— Trzeba będzie dużo pracować, zatopić się po uszy w robocie i zapomnieć, za wszelką cenę zapomnieć...

Mimo tego pójście do biura, wypełnienie tam zwykłych czynności wydało mu się w tej chwili tak wstrętnem i bezcelowem, że najchętniej byłby się obrócił na pięcie i poszedł w świat tak wprost przed siebie, gdzie oczy poniosą. Przemógł się jednak.

— Tylko praca mię wyleczy.

Spojrzał na zegarek, była za 10 minut ósma. Wzdrygnął się, czy się nie spóźni i szybko począł iść w kierunku urzędu, cały zatopiony w swych myślach. Potrafił przecież zauważyć, że jakiś słaby jest jeszcze ruch na ulicach i że nikogo ze znajomych nie spotyka. Przyszedł przed sam urząd i — o dziwo! — zastał bramę zamkniętą. Spróbował klamki, nie ustąpiła pod naciskiem ręki.

— Cóż to zajść mogło? święto? — ależ nie, dziś przecież środa, we wtorek miało się odbyć spotkanie z Lili... Spojrzał znów na zegarek i w tym momencie... przypomniał sobie!

— Boże! przecież to wczoraj o tej samej porze przesunąłem wskazówki o całą godzinę naprzód! Jakże mogłem o tem zapomnieć, jakże mogłem?!

Zatoczył się półprzytomnie, poczem radość chwyciła go spazmem za gardło. Począł biec jak szalony w stronę mieszkania ukochanej.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 18 **Niedziela, 30 kwietnia 1939** **Rok V**



Fot. W. Pikiel — Warszawa.

Przyjaciół poznaje się w potrzebie: stare to przysłowie zdaje się sprawdzać w obecnej sytuacji, gdy Polska, stojąc na straży swojej niepodległości i swoich interesów życiowych, poczyniła zarówno na froncie wewnętrznym — dozbrojeniowym, jak również zewnętrznym — dyplomatycznym, daleko idące pociągnięcia. Państwa bałtyckie oddawna z nami złączone wspólnotą interesów politycznych i gospodarczych wykazały, że wzajemne węzły tembardziej obowiązują w czasach próby. Ostatnio odwiedził Polskę naczelny wódz armji estońskiej, jenerał Laidoner. Zwiedzając m. in. Zakłady Południowe, jenerał Laidoner wyraził się z najwyższem uznaniem o uzbrojeniu naszej armji, wywożąc z Polski przekonanie, że jest ona potężnym bastjonem porządku na wschodzie Europy. Na naszem zdjęciu widzimy wodza armji estońskiej w towarzystwie wiceministra spraw wojskowych, gen. Litwinowicza, podczas zwiedzania Zakładów Południowych.

1 USTRÓJ • 2 FORMA RZĄDU • 3 WOJNA ŚWIAT. • 4 ROZWÓJ TERYT.









Co pewien czas dochodzi w dziejach Europy do zestawienia bilansu ubiegłych lat: podczas takich „operacyj" b u c h a l t e r y j n y c h grzmią zazwyczaj armaty a kraje otaczają się, jak trwożliwy ślimak skorupą, — drutami kolczastymi. Taki bilans to rozliczenie się z rzeczywistością, to dostosowanie stanu politycznego do zmian jakie zaszły w ostatnich kilkudziesięciu latach. Bo zmiany dokonują się niejako pod powierzchnią widzialnego życia: w duszach ludzi, w ich pojęciach, w ich fantazji. I dopiero w pewnej chwili, wszystkie te zmiany, przewroty wewnętrzne ujawniają się na zewnątrz: miasta pokrywają się nieznanemi dotąd flagami, nowe hasła widać na transparentach, nowy rodzaj pozdrowienia czy nowe slogany wchodzą na „rynek" polityczny.

I zaczyna się nowa era: jedni chcą utrzymać „status quo", drudzy dążą do przemian zasadniczych. I wobec tego, że ani jeden ani drugi nie chce ustąpić zaczyna się wojna. W podobnej sytuacji „bilansowej" stanęliśmy i dziś w Europie: nowe, nieznane dotąd w tej formie ideały, wierzenia, przekonania i cele zrywają dotychczasowe granice państw, obalają dawne barjery graniczne i słupy z herbami, dążą do nowych zewnętrznych i wewnętrznych form życia. Bardzo często nowe drożdże powodujące ferment w świecie są zbyt słabe aby zmienić jego wygląd i muszą zupełnie zniknąć z powierzchni ziemi wciągając w katastrofę całe narody...

Zanim zdołamy się zorjentować w obecnej sytuacji musimy posegregować państwa według różnych ich kryterjów, rozejrzeć się gdzie należy, szukać powodów dążenia do nowego ukształtowania karty geograficznej, i czy to dążenie jest słuszne z objektywnego i abstrakcyjnego punktu widzenia. Obok zamieszczone mapki zorjentują nas w tym względzie.

1. Brzmi to może paradoksalnie, ale forma rządu nie zawsze pokrywa się z ustrojem: republika, z samej rzeczy demokratyczna bo rządzona przy udziale wszystkich obywateli, często degeneruje w dyktaturę, dożywotnią rzecz prosta. Rosja lub Niemcy są tego jaskrawym przykładem. Z innego punktu widzenia można państwa podzielić na liberalne, tj. takie, w których są pewne dziedziny życia, w które rządowi i władzy państwowej nie wolno wnikać, gdzie istnieje „rezerwat" prywatnego życia, i takie gdzie do każdej dziedziny wnika ukaz, dekret, rozporządzenie i gdzie obywatel w całości oddany jest na usługi państwa. Te kraje noszą nazwę totalistycznych. Jest ich w Europie trzy: Niemcy, Rosja, Włochy, do niedawna za życia Atatürka, pierwszego prezydenta republiki tureckiej należała do nich też Turcja. Republika portugalska jakkolwiek jest rządzona przez dyktatora, prezydenta Salazara nie jest państwem totalistycznem, a obywatele jego cieszą się nawet dalekoidącą swobodą prywatną. Sprawa Hiszpanji jest dotychczas mało wyraźna: niema wątpliwości, że rządy pozostaną tam na pewien okres czasu autorytatywne, wątpić jednak należy, aby stały się totalistyczne a raczej należy przypuszczać, że nastąpi silny rząd pod egidą monarchji.

2. Na drugiej mapce rozróżniamy państwa monarchiczne i republikań-

TURCJA • NIEMCY • POLSKA • JUGOSŁAWJA









stawiamy djagnozę!

skie a lepiej państwa rządzone przez dynastje dziedziczne lub przez osoby wybrane dożywotnio czy na pewien przeciąg czasu. Otóż posiadamy jedenaście monarchji i osiem republik, nie licząc trzech małych monarchji (Liechtenstein, Luksemburg, Monaco), i dwóch republik (San Marino i Andorra). Ostatnie lata i tu wprowadziły pewne nowe, nieznane dotychczas w tych ramach rozróżnienia: są monarchje dyktatorskie, np. Włochy, półdyktatorskie — Bułgarja, są też republiki dyktatorskie Niemcy, Rosja, przyczem większość monarchji jest dzisiaj pełnodemokratyczna: Anglja, Danja, Szwecja, Norwegja, Holandja, Belgja itd.

3. Trzecim punktem widzenia na dynamikę państw jest wzięcie pod uwagę czy państwa te straciły czy zyskały na wojnie światowej? Zyskały: Jugosławja, Rumunja, Włochy, Francja, Anglja, (w kolonjach), Danja (Szlezwik Holsztyn), Grecja; straciły: Rosja, Niemcy, Austrja, Bułgarja, Węgry, powstały na nowo: Polska, Litwa, Estonja, Finlandja, Łotwa, Czechosłowacja. Jest to bardzo ważny punkt w dziejach Europy powojennej, gdyż decyduje on o nastawieniu państw wobec ewentualnych powikłań europejskich, utrzymując w danych narodach przekonanie o poniesionej stracie i chęć odzyskania swych strat.

4. Czwartym wkońcu punktem wyjścia w ocenie stosunków europejskich jest stwierdzenie, czy dane państwo w obecnych swych granicach zyskało swój największy czy najmniejszy terytorjalny rozwój. Zależnie od tego będzie ono, mniej lub więcej, dążyć do odebrania swych dawnych ziem, do których zdaje się mieć prawo na podstawie historycznej. Niemcy nawet nie sięgając do historji, uzurpują sobie prawo do ziem na których kiedykolwiek mieszkał jakikolwiek procent Niemców (vide Kłajpeda). Otóż krajami, które nie dosięgły swego największego rozwoju jest przedewszystkiem Polska, która straciła dawne ziemie przez siebie skolonizowane, bronione i ucywilizowane, a na których wyrosły nowe państwa jak Litwa, Łotwa, częściowo Estonja, względnie przypadły Z. S. R. R. W podobnej sytuacji jest Francja, Niemcy natomiast doszły przez zabór Czechosłowacji i Austrji do tych samych nieomal, (poza Węgrami) granic, jakie posiadały przed r. 1806, kiedy to cesarz rzymski Franciszek II złożył koronę rzymską przyjmując tytuł cesarza austrjackiego, z tą tylko różnicą, że Węgry, Austrja, Czechy, były własnością Habsburgów łączących koronę rzymską z koronami danych krajów, nie wchodziły one jednak jako integralne części w ramy państwa niemieckiego. Jeżeli idzie o Włochy, to musielibyśmy się cofnąć do czasów starożytnych, aby znaleźć szersze granice tego państwa, począwszy od średniowiecza bowiem były, jak wiadomo, rozbite na wiele drobniejszych państw (Neapol, Państwo Kościelne, W. Ks. Toskańskie, ks. Parmy i Piacenzy, królestwo Sardynji, republiki Genua, Wenecja, itd.).

Wkońcu należałoby zastanowić się nad wpływami kulturalnymi jakie narody wywierają na swych sąsiadów: od tego szczegółu zależy ideologiczna ekspansja, wpływ języka i promieniowanie ducha danego narodu, zamieniające się nieraz na agresję. (Niemcy wobec Czechosłowcji). Oczywiście, że przy tych rozważaniach nie można zapomnieć o stronie ekonomicznej: podzielenie państw na samowystarczalne, i takie które nimi nie są, nie zaprowadzi jednak daleko, bo państw ściśle samowystarczalnych właściwie nie ma, natomiast może tu zachodzić różne stopniowanie.

Żadna zawiła partja szachów nie nastręcza prawdopodobnie tyle niespodzianek, kombinacyj i możliwości, co gra pionkami — państwami na karcie Europy: poza wieloma innymi powodami na pierwszem miejscu stoi ten, że niestety państwa nie stosują się... do reguł gry i lubią robić posunięcia niedozwolone w „fair play"! Ale i do tego trzeba się przyzwyczaić: poprostu robi się to samo i wtedy „wyższość" przeciwnika odrazu odpada. Mimo całą trudność budowania przypuszczeń, nawet po skrupulatnem obliczeniu wszystkich czynników, a może właśnie dlatego, snucie kombinacyj na temat przyszłej rozgrywki jest wysoce emocjonujące; a staje się niem tem więcej, gdy należy przypuszczać, że my sami, w Europie, będziemy świadkami tej rozgrywki prowadzonej na olbrzymiej szachownicy, od Leningradu po Madryt i od Londynu po Konstantynopol.

JGM.



ANGLJA PANUJE NA OCEANACH



Wybór znaczków najważniejszych kolonij angielskich, oraz w środku trzeciego rzędu znaczek Egiptu przedstawiający zawarcie traktatu w r. 1939. Podwójny znaczek Południowej Afryki (w przedostatnim rzędzie) nosi napisy w języku angielskim i t. zw. „suidafrikaansch", w tym samym rzędzie pierwszy od prawej znaczek Malty z pomnikiem wielkiego mistrza Zakonu Maltańskiego de Vilhena.

„Et penitus toto regnates orbe Britannos" — na dalekich falach oceanów panują synowie Albionu i od kilku wieków żadne przymierze nie może odnieść decydującego zwycięstwa nad okrętami „Króla Jegomości".

Cytat ten prawdziwy od czasów zniszczenia Wielkiej Armady czytamy na pięknym znaczku wyspy Barbados — na którym monarcha największego konstytucyjnego imperjum płynie po falach morskich na tronie zaprzężonym w rumaki-delfiny. Trójząb, który dzierży w swem ręku powierzył mu snać słusznie sam Neptun — najwyższy władca tego żywiołu...

Tam zaś na drugim końcu świata nietylko skały i najeżone rafami zatoki są symbolem Nowej Zelandji — jakby to można wywnioskować z niejednego znaczka tych dwu przepięknych wysp. Teraz tylko resztki Maorysów nie rozmnażających się tak szybko, jak biali przybysze, musiały ulec w nierównej walce. Ci najzdolniejsi z ludzi o skórze koloru kawy, umieli się jednak w wysokim stopniu zasymilować, dzisiaj więc jest to jedno z najcenniejszych dominjów Wielkiej Brytanji. Również w tem miejscu, gdzie dzisiaj mkną samochody po asfaltowych ulicach Sydney, w tem miejscu gubernator Philip obejmował w posiadanie piątą część świata w roku 1788. Było to przecież zaledwie 151 lat temu, a odkrywców witał wtedy tylko szum drzew eukaliptusowych i oczom ich ukazały się po raz pierwszy niezwykłe twory flory i fauny — dzisiaj natomiast jest to kraj o najwyższym poziomie gospodarczym.

Żyjąc w niezwykłym dobrobycie (pomocnica domowa nie może pobierać w Australji mniej niż 150 zł. miesięcznie), pamiętają potomkowie wychodźców o swych obowiązkach względem macierzy. Dowodzą tego czyny „ANZAC" (Australian-New Zealand Army Corps), utworzonego natychmiast po wybuchu wojny światowej. Wtedy, gdy metropolja zażądała, nie wahały się tysiące ochotników opuścić swych bezpiecznych siedzib. W dwudziestą trzecią rocznicę po tych zaciętych walkach, widzimy na znaczku pamiątkowym, jak żołnierz ten ląduje na Gallipoli pod osłoną armat okrętów Ententy, by zagrozić sprzymierzonej z Niemcami stolicy Islamu.

„Trzymamy w swych rękach ster rządów nad większym obszarem, aniżeli ktokolwiek przedtem" piszą o sobie Anglicy na znaczku Kanady. Widzimy na nim jaskrawą czerwienią oznaczone kolonie i dominja, a wspólności gospodarczej dowodzi wśród wielu innych także ten szczegół, na którego pamiątkę wydano taki znaczek. Oto począwszy od Wysp Sokolich przez Wyspy Wniebowstąpienia, Zanzibaru, cieśniny Singapore, aż do Hongkonku wszędzie tam obowiązuje jednaka stawka opłaty za list, skierowany do mieszkańca posiadłości angielskich. I rzecz charakterystyczna; wynosi ona jednego pensa, czyli połowę tego, co przesłanie listu ze Zgierza do Łodzi. A jeśli mimo to poczta obsługująca wszystkie części świata nie pracuje deficytowo, to musimy przyznać Anglikom, że umieli ją wspaniale zorganizować.

Tak też wszędzie, gdzie mogły zawinąć okręty, tam powstały twierdze, których już nikt ich brytyjskim odkrywcom nie umiał odebrać. Nie sposób też zliczyć tych ziem, które odebrano osadnikom innych narodów i którymi władano bez żadnych względów. Ale czasy się zmieniają i dzisiaj daleko posunięta tolerancja pozwala na to, że napisy w Kanadzie czy w kraju, którego symbolem jest Góra Stołowa, umieszczane są wszędzie w dwu językach. Ale mimo to, że owe dominia napozór już całkiem luźnie związane



Kilka bardzo charakterystycznych znaczków kolonij angielskich m. in. w środku żołnierz armji nowozelandzkiej, trzeci od lewej znaczek z mapką wyspy Cypru, obok mapka posiadłości angielskich na świecie, na znaczku Kanady.

PKO
nigdy nie zawodzi

są z Londynem i rządzą się własnym parlamentem. Nie prowadzą one „strusiej polityki" i wiedzą, że każdy naród jest tak długo zagrożony w swym bycie, jak długo sąsiad jego posiada gotową do walki armję. A czy istnieje kraj o większem znaczeniu w świecie polityki, któregoby Anglik nie mógł nazwać swoim sąsiadem?

Dwa skaliste cyple półwyspów — Iberyjskiego (Gibraltar) i Arabskiego (Aden), na których położyła żelazną rękę zaborcza w dawnych wiekach Anglja i dwie wyspy morza Śródziemnego, to ciernie, które kłują najboleśniej zazdrosnych i rozzuchwalonych obecnie przeciwników.

Któż się jednak odważy zaczepić lwa brytyjskiego? To nie jest bosy „lew Judy" Negus Negesti, którego nie obronił skwar klimatu Etjopji. Ten kto dzisiaj wyjmie ową już symboliczną „szablę z pochwy" ten niech pamięta, że daleko na północy w St. Johns, stolicy Nowej Funlandji, stoi pomnik tych, co przelewali krew pod Cambrai, Geudecourt, Beaumont, że tak jak to widzimy na znaczku Jamajki nowe kontyngenty wojska przybędą z tej wyspy na pole walki — a w stolicy cesarstwa Indyj — Nowem Delhi powstanie może jeszcze jeden łuk triumfalny obok tego, który wzniesiono na pamiątkę zwycięstwa w najkrwawszej wojnie świata. Dlaczegóż jednak nie umiano choćby przez pół wieku utrzymać owoców sukcesu sprzymierzonych...

Marynarz „H. M. Ship" (okrętu króla Jegomości) zdobywał przed laty coraz to nowe „perły", ozdabiające koronę posiadłości W. Brytanji, a dzisiaj strzeże ich, bo już kto inny ostrzy sobie na nie apetyt. Ale tam, gdzie na równiku leży śniegiem pokryte Kilimandżaro, gdzie ostry skalisty wierzchołek góry Piton wznosi się wprost z morza na Świętej Łucji, gdzie zamglone szczyty Kinibalu (4175 metrów) widać na Północnem Borneo, tam gdzie w r. 1595 Raleigh odkrył jezioro asfaltowe na wyspie św. Trójcy, gdzie Manden wylądował w r. 1659 (św. Helena), nietylko tam wreszcie, gdzie w kraju, zajętym przez Cecila Rhodes, huczą wodospady Zambezi — tam wszędzie powiewa dumnie flaga „Union Jack". W dzisiejszym zmechanizowanym i zmaterjalizowanym świecie, gdy najważniejszym symbolem jest może dwa razy przekreślone L — funt szterling, tak łatwo wybijany ze złota Transvaalu, rodacy Cooka, Nelsona, Gordona, Kitchenera muszą opanować jeszcze jeden żywioł, w którym niema granic — powietrze. To jeszcze mało, że „Homne Fleet" nie dopuści żadnego wroga do granic Albionu, że eskadry na Malcie przewyższają całą potęgę Italji, a wraz z U. S. A. mogą eskadry dalekich oceanów przyćmić chwałę sztandaru „Wschodzącego Słońca". Dzisiaj panować trzeba także pod i nad falami oceanów.

Największą oczywiście potęgą świata obok floty angielskiej jest ta, której bandera nosi „gwiazdy i pasy" (stars and stripes). Wiemy jednak aż nazbyt dobrze, jakie są sympatje wszystkich obywateli państwa, które gospodarczo symbolizuje dwa razy przekreślina litera S (dolar). Orędzia i noty mogą jednak dzisiaj tylko wtedy powstrzymać zbyt dufnych w swą siłę przeciwników, jeśli poparte są jeszcze lepiej przygotowaną do wojny armją. A tutaj nie ulega wątpliwości, że cała rasa anglo-saska, której zmierch chcą przyspieszyć Włosi i Niemcy, bronić się będzie jeszcze energiczniej, aniżeli to było w roku 1914.

Wówczas nie zważano z początku na to, że statki neutralne przewoziły towary i żywność, a dopiero wtedy, gdy nieuchwytne łodzie podwodne rozpoczęły swą niszczycielską pracę, kraje Ententy zaczęły nieubłaganą pod względem gospodarczym walkę. Teraz, gdy naprawdę każdy ustrój państwowy ma prawo wymagać od obywatela najwyższych poświęceń w razie potrzeby, każda wojna stanie się dosłownie „bellum omnium contra omnes".

Organizacja i współpraca dwu najbardziej kosztownych broni: floty i lotnictwa wymaga dzisiaj szybkich decyzyj, a przedewszystkiem zdolnych konstruktorów technicznych. Nie potrzeba też wspominać, że najkosztowniejszym okrętem, jaki pływa po słonych wodach jest awiomatka — amerykańska „Saratoga" i „brat" jej „Lexington". Pod tym też względem Anglicy przewyższają nieskończenie rywali europejskich, że pływające i najeżone lufami armat hangary lotnicze, (bo tak możemy nazwać awio-matki), mogą dotrzeć tuż pod same miasta i porty przeciwników. Anglicy nie wybudowali coprawda w tym dziale okrętów największego „kalibru" (zaznaczamy, że okrętami nazywa się po polsku wszystko, co „pływa po wodzie" i przeznaczone jest do celów wojennych, a statki służą do celów handlowych i przewozu pasażerów). Zato jednak wyposażenie techniczne „Arc Royal" lub „Hermesa" kryje w sobie takie tajemnice, jakich zapewne oko żadnego szpiega nie widziało.

* * *

Narody, z którymi zawarto traktaty (np. Egipt w r. 1926), pracujące nad utrzymaniem pokoju, a posiadające lotnictwo, stojące na jego straży, też muszą się upominać o swoje prawa. I te płody krajów południa, które przez piaski Sudanu przewozi wielbłąd, a na dalekich archipelagach piroga malajska — powinny być sprawiedliwie rozdzielane — właśnie za cenę zbrojnego przymierza.

Witold Horain.

CHCĄC BYĆ PIĘKNĄ-
DBAJ O MŁODOŚĆ SKÓRY

Zapewnij Twej skórze „odmładzający olejek"... używaj Palmolive, mydło wyrabiane na olejku oliwkowym.



Taki Oto droga dla zachowania młodej skóry... pociągającej przez lata całe... o miłym, delikatnym wyglądzie, uwielbianym przez wszystkich mężczyzn. Specjaliści kosmetyki twierdzą, że skóra pozostanie tak długo młoda, jak długo zachowa ona swe własne, zapewniające młodość olejki, które ją odżywiają. Gdy jej olejków tych zbraknie, skóra staje się sucha, chropowata, wygląda staro... nawet, gdy masz tylko dwadzieścia lat.

Dla zabezpieczenia skóry przed utratą tych życiodajnych, zapewniających młodość olejków, specjaliści kosmetyki w całym świecie zalecają Palmolive, gdyż jest to mydło piękności wyrabiane na łagodnym olejku oliwkowym.

Palmolive różni się zupełnie od innych mydeł. Wyłącznie mydło Palmolive wyrabiane jest na tylko nam znanej mieszaninie delikatnych olejków oliwkowego i palmowego najstarszych i najlepszych olejków piękności jakimi rozporządza nauka.

Zauważ, jak ta delikatna piana, powstała tylko dzięki olejkowi oliwkowemu, głęboko i gruntownie czyści pory.

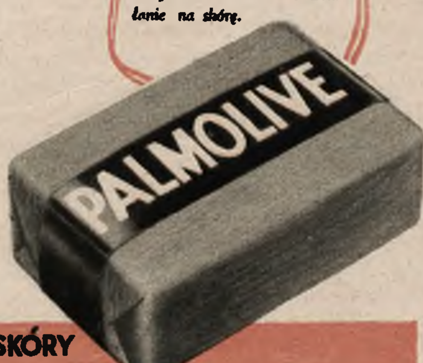
JAK ZDOBYĆ PIĘKNĄ CERĘ.

Wcieraj dokładnie obfitą, delikatną pianę mydła Palmolive w skórę. Usuwa ona łagodnie najmniejsze ślady brudu i kosmetyków, pozwalając porom na normalne oddychanie i działanie.

Następnie spłucz ciepłą, a potem zimną wodą. Spójrz, o ile piękniej wygląda Twa skóra... nie jest ani za sucha, ani za tłusta. Używając mydła Palmolive regularnie rano i wieczorem, przekonasz się, jak niezrównanie piękna stanie się Twa cera, ozdobiona tym pięknem, które jedynie nadaje nam tylko znana mieszanina drogocennych olejków oliwkowego i palmowego, użyta do wyrobu mydła Palmolive.

Dlaczego więc nie kupić dziś jeszcze 3 kawałków mydła Palmolive?

Obfitym ilościom olejku oliwkowego — prawdziwego olejku piękności—mydło Palmolive zawdzięcza swój naturalny zielonkawy kolor i zbawienne działanie na skórę.



WYRABIANE NA OLEJKU OLIWKOWYM DLA ZACHOWANIA MŁODEJ I PIĘKNEJ SKÓRY

Oświadczyny

NOWELA

ANDRÉ BIRABEAU

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD M. NADACHOWSKIEJ-KNIAGININOWEJ

Przestali się całować. Filip patrzył na Marję Klaudję z zadowoleniem, jakie błyszczy w oczach znawcy kosztującego dobre wino.

— Muszę oświadczyć się ojcu o twą rękę.

Marja Kladja parsknęła śmiechem...

— Z czego się śmiejesz — zapytał z odrobiną niepokoju, ponieważ kochał i lękał się o swe szczęście. — Z czego się śmiejesz?

— Z tego zdania, które wygłosiłeś.

— Czy nie było poprawne?

— Ależ owszem, owszem...

Filip zmarszczył brwi.

— Nie rozumiem!

— Muszę oświadczyć się ojcu o twą rękę! — to jest w stylu Dumasa - syna.

Uśmiechnął się.

— Prawda. Ale cóż? Zawsze się tak mówi. Oczywiście to ty mi oddasz swą rękę i oczywiście nie ubiorę białych rękawiczek, idąc do...

— ...imć ojca dobrodzieja!

— ...do twego ojca. Ale jednak trzeba, żebym do niego poszedł. Ceremonja będzie trochę mniej uroczysta, lecz jest niezbędna. Obyczaje zmieniły się mniej, niż przypuszczamy. W jakąkolwiek formę ująłbym me oświadczyny, to, co mu powiem, będzie znaczyło: Czy nie ma pan nic przeciwko temu, bym poślubił córkę pana? — nawet jeżeli jestem zdecydowany, na wypadek odmowy, obejść się bez jego... pozwolenia?...

— Ach, tak?

— Ach, tak!

— Jesteś miły!

— Prawdę powiedziawszy, Marjo Klaudjo ten krok... ta okazałość... ten repertuar z 1900 r. jest pełen uroku, jeśli się weń trochę wczuć, i byłbym zmartwiony, gdyby go mnie pozbawiono. Pomyśl! to jest jak wjazd triumfalny! „Proszę pana! Pan ma córkę najbardziej zachwycającą pod słońcem. Ona jest rozkoszą waszych oczu, radością waszego serca. Jest słońcem waszego domu. Waszym najdrogocenniejszym skarbem. Jest różą, którą od 19 lat pielęgnujecie z ustawiczną troską, by rosła. Teraz gdy ma się rozkwitnąć, proszę mi ją dać w podarku". — A on przyglądnąwszy się powie:

— „Istotnie zasługuje pan na to, by ją otrzymać. Oddaję ją panu!" — To jednak piękna chwila, nieprawdaż?

— Tak, lecz w rzeczywistości odbędzie się to inaczej. Tatuś powie ci dobrotliwie: Tak, tak, wiem... Marja Klaudja uprzedziła mnie. Więc dobrze! — zachwycający młody człowieku!

— Może mi nawet powie: Niech notarjusz pana porozumie się z moim!... Na jedno wyjdzie... Krótki błysk jego oczu wyzna mi: W głębi nienawidzę cię za to, że mi ją porywasz! A jego pięść: Daj jej szczęście, rozumiesz?

— Myślisz?

— Jestem tego pewny! Ojciec, to zawsze ojciec. Przekonasz się o tem za jakieś 20 lat, gdy będziemy wydawali naszą córkę zamąż.

I znów rzucili się sobie w objęcia.

* * *

Filip nie znał wcale ojca Marji Klaudji, pana Laroche-Grimbert, Marję Klaudję poznał z końcem zimy na stokach Rigi. Był w Lucernie. Robił wycieczki. Pojechał raz statkiem. Była to niedziela. Statek wypełnił się tłumem, uprzejmych, poważnych a jednak wesołych Szwajcarów. Parowiec ślizgał się po spokojnej wodzie pod gładkiem niebem. Nisko nad jeziorem leciał łabędź wyciągając poziomo swą długą szyję. Jakiś młody człowiek pokazywał swej towarzyszce, znajdujący się na brzegu dom, w którym mieszkał Wagner.

Może być, że wszystko — ta cicha woda, czyste niebo, ten ptak i wspomnienie Trystana — usposabiało do miłości. Filip przeżywał jedną z tych chwil, w których się widzi nie patrząc, w których się czuje nie zastanawiając.

Jezioro Czterech Kantonów jest jakby złożone z płatków. Statek zwraca się w inną stronę i inny płatek się rozwija. Weggis... Vitznau... zdaje się, że w tych wsiach podobnych do zabawek, życie jest rozrywką. Inna zabawka, czerwona kolejka linowa poniosła Filipa aż do Staffelhohe. Ukazały się pola pokryte śniegiem, a na nich sylwetki przypominające pingwiny: byli to narciarze. Trzeba przyznać, że narciarze są trochę śmieszni w podchodzeniu. Gdy mkną, gdy pędzą, narty u ich nóg robią wrażenie obuwia Little Tich. Tarasy restauracji zapełniali siedzący, wyciągnięci ludzie, którzy wystawiali na słońce swą nasmarowaną oliwą skórę. Filipowi przysunięto krzesło do stołu, przy którym już ktoś był. Mówię „ktoś", ponieważ na pierwszy rzut oka nie można się było zdecydować: mężczyzna czy kobieta. Postać ubrana w beret, w czarne spodnie i marynarkę z żółtej skóry, z niebieskiemi okularami na nosie, miała jednak coś, co zdradzało w niej kobietę: róż na wargach. I stał się cud: serce Filipa przeczuło, że jest zachwycająca.

Piła herbatę. Filip czekał, aż przeciążona pracą służąca przyniesie mu zamówioną kawę. Siedzieli przy stole obok siebie, nie rozmawiając. Inna istota w czarnych spodniach i niebieskich okularach (z ustami wymalowanemi) zbliżyła się i uśmiechnęła miło do Filipa:

— Dzieńdobry panu — powiedziała, siadając.

Ponieważ Filip ukłonił się z widocznem zdziwieniem, wyjaśniła:

— Ach przepraszam pana. Myślałam, że pan jest przyjacielem mojej córki.

Filip uśmiechnął się:

— Jeszcze nie — odpowiedział.

Marja Kladja parsknęła śmiechem, który już przedtem w niej przeczuł.

— A więc — rzekła — przedstawiam panu moją matkę.

Pani Laroche-Grimbert należała do gatunku gadatliwych: mówiła, mówiła... Filip nie trudził się nawet, by odpowiadać. I Marja Klaudja milczała. Nie pragnął niczego więcej, czuł się szczęśliwym, wniebowziętym. Jakgdyby po długiej podróży usiadł. Tak, właśnie tak, miał wrażenie, że przybył do celu.

Nagle Marja Klaudja zdjęła swe niebieskie okulary. I Filip doznał wrażenia, że mu podała rękę.

Zjechali tą samą kolejką, wracali tym samym statkiem. Gdy przejeżdżali przed domem Wagnera, mimowoli zanucili jakąś melodję i zaniepokojeni, wzruszeni spostrzegli, że był to „marsz weselny" z Lohengrina.

Nazajutrz spotkali się nad brzegiem jeziora i nie było to już całkiem przypadkowem. Dwa tygodnie później zobaczyli się znów w Paryżu i to już wcale nie było przypadkiem. Spotykali się potem na różnych zabawach dla młodzieży. Matka zjawiała się czasem na te zebrania, ojciec znacznie rzadziej. Filip zaledwie dwa czy trzy razy miał sposobność uścisnąć rękę pana Laroche-Grimbert. Zachował w pamięci siwego pana z różową czaszką, który palił cygara i milczał grając w bridża.

— Kiedy twojem zdaniem mam się oświadczyć, Marjo Klaudjo? Czy iść popołudniu do domu? Czy napisać, prosząc o spotkanie?

— Ależ nie! nie! Uprzedzę go, będziesz zaproszony na obiad i po obiedzie obydwa pójdziecie porozmawiać na pięć minut do palarni.

— Doskonale!

— Tylko musisz zaczekać kilka dni, bo w tej chwili ojciec jest w Anglji.

* * *

Wśród przyjaciół w rodzinie Filipa była pewna starsza dama, a pani Saint-Verly, która zawsze go bardzo kochała, która obdarowywała go czekoladą, gdy był mały, tureckimi papierosami, gdy stał się młodym człowiekiem i którą on sam serdecznie lubiał... Po wspaniałej młodości żyła teraz w głębi Auteuil, utyskując na małą rentę. Filip dowiedział się, że zdarzył się jej najgłupszy pod słońcem wypadek: pośliznęła się na posadzce w swoim salonie i upadając, złamała nogę. Przypuszczał, że będzie szczęśliwa, gdy ją odwiedzi. Zrobił to pewnego popołudnia, przedtem wstępując do fotografa, któremu dał do wywołania i skopjowania rolkę zdjęć.

Pani Saint-Verly, tak jak myślał, była wzruszona tą wizytą. Mówiła, stękała, rozczulała się nad przeszłością, skarżyła się na teraźniejszość. Słuchając, co mówi, Filip bawił się odbitkami swych zdjęć. Żółta koperta przyciągnęła wkońcu wzrok pani Saint-Verly.

— Co to jest? — spytała. — Czy przyniosłeś coś dla mnie?

— To pani nie interesuje. To są fotografje, które zrobiłem w tych dniach na tenisie i których próbki odebrałem w tej chwili od fotografa.

— Dlaczego myślisz, że mnie to nie zainteresuje? Przeciwnie będę zadowolona, znając twarze twych przyjaciół.

Włożyła zaraz okulary. Filip podał kopertę, uśmiechając się do starszej pani.

— Brawo! — zawołała — ot panienki, które nie boją się pokazać swych nóg.

— To są młode dziewczęta z towarzystwa.

— Nie wątpię! Gdyby choć te wszystkie nogi były ładne! Niestety! Mój Filipie, nie obrażaj się, lecz te twoje młode sportsmenki nie są piękne! Ach, jednak jedna jest ładniuteńka!

Filip się pochylił i lekko zaczerwienił.

— To Marja Klaudja Laroche-Grimbert.

Pani Saint-Verly zdjęła okulary i wpatrzyła się w przestrzeń.

— Ach! — powiedziała. — Marja Klaudja Laroche-Grimbert. Znałam kiedyś dobrze jej ojca. Jakiż to był piękny chłopak!

— Nie może być! Nikt by tego dziś nie powiedział!

— Ależ nie chodzi o... Ej! mam za długi język! Mówię o jej ojcu, prawdziwym... o Stefanie Hourdel...

Filip wyszedł od pani Saint-Verly trochę zaniepokojony. Przez instynktowną przezorność nie powiedział pani Saint-Verly, że kocha Marję Klaudję, że zostanie jej mężem i starsza pani się wygadała. Była to zresztą sprawa najprostsza w świecie: pani Laroche-Grimbert miała kiedyś kochanka, mało osób domyślało się tego, mąż naturalnie mniej niż ktokolwiek.

Nie miało to, ma się rozumieć, żadnego znaczenia. Ten szczegół nie zmieniał w niczem Marji Klaudji. Nie umniejszał jej. Ze sposobu, w jaki o nim mówiła pani Saint-Verly, można było wnioskować, że ojciec, który dał życie, był równie czcigodny jak i ten drugi, który dał nazwisko. A jednak było coś, w czem Piotr znalazł pewną różnicę. Myślał o tych oświadczynach. Wyobrażał je sobie doskonale. Ten ważny pan zaprowadzi go po obiedzie do palarni, wyciągnie papierośnicę, prosząc by usiadł w fotelu; sam będzie stał, paląc cygaro i patrząc na niego z góry. Powie: „Moja córka powiadomiła mnie... Oddam panu mą córkę... za żonę ...moja córka jest... moja córka..." — a to wcale nie jego córka... Ważność tego pana stanie się wówczas prawie komiczna... Filip z trudnością powstrzymał się od śmiechu.

A Marja Kladja?

Czy wie o tem? Czy się domyśla? Te pytania zbudziły się w nim, gdy się spotkał z Marją Klaudją. Patrzył na nią z ciekawością. Szukał w niej jakichś nieznanych rysów. Czy i ona także, przeglądając się w lustrze, szukała podobieństwa, obrazu, który nie był podobieństwem, obrazem tego pana, koło którego żyła 19 lat. Gdyby wiedziała, to przy dźwięku nazwiska zdradzi się drgnieniem, rumieńcem. Potem... potem... uściśnie ją silniej w ramionach.

Nie zadał sobie trudu, by zakładać jakieś skomplikowane sidła. Gdy pewnego razu siedzieli sami w kącie ogrodu, powiedział poprostu:

— Czy nie znałaś w dzieciństwie niejakiego pana Stefana Hourdel?

Otworzyła szeroko oczy:

— Nie pamiętam. Czemu się pytasz?

— Jest to pewien pan, który znał jedną starszą panią pośród mych przyjaciół. Niegdyś opowiadał jej o tobie.

— W związku z interesami tatusia przedefilowało przez nasz dom tylu ludzi...

Jej ojciec też tak przedefilował i nie domyśliła się tego.

Filip doznał głupiego wrażenia, że Marja Klaudja jest godną politowania. Z czułością, w której brzmiała gorąca litość, wyznał jej:

— Kocham cię! Droga!

I będzie tak: zaczną żyć obok siebie; on zachowa tę wielką o niej tajemnicę. której ona nawet nie podejrzewa. A w głębi nie będzie mu niemiło mieć nad nią tę ukrytą wyższość (gdyby ją mniej kochał powiedziałby: tę broń). Wzbogacało to jego miłość o uczucia protektora.

Po jakimś czasie przestał o tem myśleć, by po kilkutygodniach, gdy powrócił z Anglji pan Laroche-Grimbert, znów powrócić do tych rozważań. Przewidziana scena odbyła się nakoniec. Po obiedzie, spożytym w ścisłym rodzinnem kółku, pan Laroche Grimbert, położywszy rękę na ramieniu Filipa, powiedział:

— Chodźmy na 5 minut porozmawiać!

Panie uśmiechały się zdaleka.

Było ściśle tak, jak sobie to Filip wyobrażał: pan Laroche-Grimbert podał mu papierośnicę, wskazując fotel, a sam zapalając cygaro stał i mówił: „Moja córka powiedziała mi już... Pan chce mi zabrać moją córkę... Moja córka..." Ale Filip wbrew swym przypuszczeniom nie miał ochoty się śmiać. Gdy pan Laroche-Grimbert mówił o Marji Klaudji, powoli ogarniał go smutek, który wydawał mu się głupi, lecz przed którym nie mógł się obronić. Próbował go rozpędzić, jak rozpędzał dym z przed oczu. Lecz naprożno. Myślał o innym ojcu — o tym prawdziwym.

Pan Laroche-Grimbert mówił ciągle z uprzejmą, nieco wymuszoną serdecznością. Filip nie słuchał. Nie mógł się powstrzymać, by coraz silniej i silniej nie myśleć o tym innym. Nagle błysnęła mu myśl:

— Gdybym był czarnym charakterem...

I uśmiechnął się. Pan Laroche-Grimbert sądził, że uśmiecha się do niego i podwoił swą serdeczność.

* * *

Czy trzeba mówić coś więcej o Filipie. Szukam i znajduję coś godnego uwagi. W 17 roku życia zakochał się. Był chłopcem miłym lecz bez indywidualności i opieszałym w nauce. W salonie swej matki spotkał młodą, niezwykle piękną kobietę, starszą od siebie o dobre 10 lat. Wielkie pragnienie miłości sprawiło, że zakochał się w niej bez pamięci. Lecz ona troszczyła się o hołdy innych. Uśmiechała się do niego ze zdawkową kokieterją, nazywała go „mój mały", co zachwycało go wprawdzie, lecz nie stawiało wyżej od chłopca pokojowego. Z rozkoszą wykonywał tysiące jej poleceń. Pewnego razu — przysiągł sobie, że tego dnia zdobędzie się na odwagę — wziął ją nagle w ramiona. Żartując, chciała się uwolnić z jego objęć, lecz zatrzymał ją z gwałtowną brutalnością. Obraziła się. Ach! jego ramiona rozluźniły się po pierwszym słowie jakie powiedziała; zrozumiał, że nie może mieć żadnej nadziei. Uciekł ze zranionem sercem. Poznał prawdziwy ból. Zaczął pracować, żeby zapomnieć i jego zawód miłosny pomógł mu do zdania matury.

Ma się rozumieć nie myślał o tej historji. Minęło 10 lat. Lecz to przeżycie wycisnęło na nim niezatarte piętno. Gdyby wówczas został szczęśliwym kochankiem, bezwątpienia byłby w następstwie innym mężczyzną; bezwątpienia, słuchając pana Laroche-Grimbert nie myślałby o tym innym ojcu, który był gdzieindziej... daleko.

Daleko, ale nie w przestrzeni. Saint Bragard leży wprawdzie o tysiąc kilometrów od Paryża, lecz nie jest to daleko, ponieważ w lecie cały Paryż wyjeżdża do Saint-Bragard i wynajmuje tam mieszkania, rozbija namioty lub zakotwicza swoje jachty. Saint Bragard jest zachwycającym portem prowansalskim, który wszyscy znają i w którym widzi się więcej artystów malarzy, niż rybaków. Filip przybył tam w tej porze roku, gdy port jest jeszcze tylko portem, gdy marynarze nie wyglądają jeszcze na statystów, a tubylcy piją swoje ulubione trunki w małych barach, nie grając na akordeonie. Nawet blado niebieskie niebo ze strzępiastemi chmurami — jak wille — nie było odmalowane na przybycie „obcych". Pierwszy przechodzień — portjer hotelowy — udzielił Filipowi informacyj.

— Pan Hourdel? Jego willa znajduje się na drodze do kościoła. Nazywa się „Sogno di mare". Jakiś mały kilometr stąd.

Filip poszedł ją oglądnąć. Była to willa z wieżyczkami, z małymi daszkami o nierównych pochyłościach, tynkowana na kolor okru. Winna latorośl rozpiętemi gałązkami osłaniała jej mury. Okna wychodziły na morze, o którem śniła. W dużym ogrodzie unosił się zapach róż, mimozy i lewkonji. Nie było widać nikogo.

Przez trzy dni, ilekroć Filip spotkał w miasteczku eleganckiego pana, myślał:

— Może to on!

Często, między innymi, mijał wysokiego, pięknego mężczyznę jadącego autem i był skłonnym wierzyć, że ten właśnie jest ojcem Marji Klaudji. Może dlatego, że był piękny. Czwartego dnia wszedł do sklepu tytoniowego po nowy zapas papierosów. Jakiś pan kupował przy ladzie znaczki.

— 1,75 więcej 25 jest 2 — liczył kupiec — więcej 3 jest 5, więcej 5 jest 10, 20, 30, 40, 50, więcej 50 jest 100.

— Dziękuję.

— Dziękuję panu, panie Hourdel!

A więc nareszcie on. Był również pięknym mężczyzną, trochę może mniej eleganckim niż inni. Filip stał w drzwiach, zamykając wyjście.

— Przepraszam — powiedział pan Hourdel, chcąc wyjść.

Filip zauważył, że ma oczy niebieskie lawendowe, takie same, jak Marja Klaudja.

— Słyszałem pana nazwisko... — powiedział — proszę mi wybaczyć. Mamy wspólną znajomą, panią Saint Verly...

— Teresę Saint Verly? Ach, rzeczywiście! — zawołał pan Hourdel.

Ręce wzniesione do góry wyrażały radość.

— Jakaż to czarująca kobieta! jaka dowcipna i jaka elegancka. Mówiła panu o mnie?

— Tak, gdy jej powiedziałem, że jadę do Saint Bragard... Wiedziała, że pan tu mieszka...

— Większą część roku. Gdy się dochodzi do pewnego wieku, gdy się nie jest żonatym i gdy żaden obowiązek, miły czy nie miły, nie zatrzymuje gdzieindziej, jedyną przyjemnością jaką się posiada, jest słońce.

Lecz uśmiechnął się i nie do słońca. Do innego słońca, które już zgasło: do swej młodości.

— Teresa Saint Verly... Kochałem się w niej kiedyś. Lecz to była niewzruszona cnota. Niewzruszona a rozkoszna! Przypominam sobie doskonale...

Stefan Hourdel zaprosił Filipa do siebie na pogawędkę. W ogrodzie na grządkach kwitły kwiaty, w domu natomiast nie było ich wcale.

— Mężczyzna — myślał Filip — nie ścina kwiatów, ażeby ozdabiać swe mieszkanie, obcina krzaki, nie zrywa róż.

W domu panował nieład. Popiół z papierosów rozsypany był na dywanie. Spojrzenie Filipa mimowoli zatrzymało się na nim. Pan Hourdel zauważył to.

— Trochę tu nieporządnie, nieprawdaż? Ach, bo ta służba... Gdy niema kobiety, żeby jej dopilnować... Obsługuje mnie żona ogrodnika. Uważam, że najrozumniej zamknąć oczy na wiele rzeczy. Miałem przez długi czas starego lokaja, który był wprawdzie nieznośny, lecz z różnych względów bardzo cenny. Umarł kilka lat temu. Słowo daję, było mi żal, jakby to umarł ktoś z rodziny.

Duży fortepian wyciągał się w kącie bawialni.

— Czy pan jest muzykalny?

— Uchem trochę, palcami wcale nie. Kupiłem ten fortepian dla dekoracji. W tym pokoju był kąt, który wymagał dużego mebla... jakiejś pięknej bryły. Zdawało mi się, że dobrze będzie tu z fortepianem... Nieprawdaż? A jednak czasem drażni mnie jego widok. Ta pokrywa, której nikt nie podnosi. Te melodje zaklęte w nim, które nigdy nie zostaną wyzwolone. Dusza, która nie umarła, a jednak nie żyje. W dni, kiedy nie ma się powodu być wesołym, nasuwa to smutne myśli.

Ach! Z pewnością w te dni, gdy ten samotny człowiek myśli o swem życiu, o tem czem mogło być, o tem czem nie jest.

Filip wyobrażał sobie tutaj Marję Klaudję podnoszącą pokrywę tego fortepjanu, kładącą swe ręce na klawiszach (zapomniał, że Marja Kaudja, gdy miała ochotę posłuchać muzyki, umiała tylko nastawić gramofon).

Z poza domu dochodził jasny dźwięk młota.

— Pan buduje?

— Małe zmiany. Gdy się posiada dom, to zawsze coś się jeszcze robi. Zaraża się człowiek „chorobą kamieni", jak mówią prości ludzie. Miałem dwa pokoje bezużyteczne, gdzie nikt nie mieszkał. Przebudowuję to na rodzaj patio. Pozostanie mi jeszcze pokój gościnny, to wystarczy jeżeli ktoś mnie zechce odwiedzić... *(Dokończenie na str. 18-tej).*

Wesoły przewodnik po świecie

BOGDAN BRZEZIŃSKI ILUSTR. CHARLIE



...nie chciał powiedzieć nawet krótkiego „tak".

Kto wybiera się do Anglji, uprzytomnia sobie przedewszystkiem, że oto jedzie do kraju ludzi opanowanych, małomównych, solidnych i przywiązanych do tradycji.

Anglicy są małomówni. Tak zwana angielska flegma nie jest bynajmniej przykrym wynikiem mglistego i niezbyt zdrowego klimatu Anglji, lecz skutkiem pewnego tradycyjnego poglądu na świat.

Niedawno naprzykład sądzono pewnego syna Albionu, który przez kilka lat obiecywał pewnej panience, że się z nią ożeni, a jak przyszło co do czego, okazał się tak małomówny, że nie chciał wypowiedzieć nawet krótkiego „tak"...

Zasadniczo wszyscy Anglicy są urodzeni pod dobrą gwiazdą i mówi się o nich, że są w czepku urodzeni, iż należą do tak sławnego narodu. Ale jest pewna ilość Anglików, którzy urodzili się nie w czepku, lecz w cylindrze. Są to tak zwani „wysoko urodzeni". Noszą oni najrozmaitsze nazwy: „earl", „duke", „lord".

Wogóle nawet wśród Anglików jest niewielu, którzy orjentują się w tej dżungli tytułów. Rzecz jasna, że zagranicą każdy wyżej urodzony Anglik to — lord. Co ciekawsze, że w jednej rodzinie ojciec może być autentycznym lordem, a syn tylko baronetem, a nawet zgoła nieutytułowanym szarym człowiekiem!

Gdy zwracałem na to uwagę w pewnem towarzystwie, wyrażając nawet z tego powodu lekki podziw, jedna pani odpowiedziała pogardliwie:

— Czy to pana rzeczywiście tak dziwi? Przecież i u nas się zdarza, że naprzykład ojciec jest lekarzem, a syn bezrobotnym... Voilà!

Od tego czasu nie poruszam już tej kwestji w mieszanych towarzystwach...

Ale idźmy dalej.

W Londynie bywa niezmiernie często słynna mgła. Może właśnie dzięki temu fenomenowi odpowiedzi dyplomatów angielskich są zazwyczaj tak mgliste...

Anglicy mają swój parlament w Londynie, na którego otwarcie król jedzie w starożytnej karocy, a tłum stoi na ulicy i śpiewa:

— Boże, strzeż króla przed Chamberlainem!

Chamberlain, jeśli ktoś z Czytelników nie słyszał tego nazwiska, jest szefem rządu angielskiego. Jest to jednocześnie najbardziej roztargniony człowiek na świecie, ponieważ nigdy nie zapomina parasola, gdy jedzie na konferencję z politykami innych krajów, a powinien nie zapomnieć raczej o bombowcach...

W parlamencie obraduje „Izba Lordów", oraz „Izba Gmin".

Są to dwie Izby, które radzą o pokoju. Brzmi to, jak paradoks, ale jest szczerozłotą prawdą. Zazwyczaj przedstawiciele narodu zapytują szefa rządu, czy Wielka Brytanja zamierza wyciągnąć konsekwencje?

Na to szef rządu odpowiada, że tak, za co otrzymuje gęste brawa. Poczem obie Izby udają się na posiłek.

Anglicy jedzą dużo. Dawniej konsumowali słabsze narody. Obecnie z konsekwencją człowieka, który z przejedzenia rozchorował się na żołądek, krytykują bezwzględnie



Koledzy po flaszce.

wszystkich, którzy mają lepszy od nich apetyt.

Pierwszy posiłek szanującego się Anglika składa się z jajek na szynce, wędzonej słoniny, jamu, kawy, befsztyka po krajowemu (tj. po angielsku) oraz piwa. Jest to tylko przekąska, która od biedy pozwoli Anglikowi wytrwać do drugiego posiłku, zwanego „lunchem".



Szkotom podobały się w Polsce najbardziej budynki P. K. O.



...są to tak zwani „wysoko urodzeni".

Około południa w całej Anglji je się jednocześnie ten sławetny lunch. Jest to takie, rzec można, „prawo lunchu".

Ulubione piwo Anglików nazywa się „ale".

Jeśli się tę nazwę wymawia zanadto zpolska, może wyniknąć przykre nieporozumienie. Sam byłem świadkiem takiej sceny: siedziałem w restauracji, a przy sąsiednim stoliku siedział starszy pan i pił ciemne piwo. Podszedł do niego jego znajomy i po przywitaniu zapytał:

— Czy pan pije piwo słodowe?

— Nie, proszę pana — odparł piwosz — nie piję piwa słodowego, ale ale.

— Ale co? — spytał znajomy.

— Ale ale — powtórzył uprzejmie zapytany.

— Wiem. Nie jestem głuchy. Ale co?

— No, mówię przecież: ale ale!

— Czy pan ze mnie kpi, do stu djabłów?! ryknął znajomy, zupełnie wyprowadzony z równowagi.

— Głuchy idjota! — wrzasnął piwosz. — Mówię bałwanowi, że nie piję piwa słodowego, ale ale, a ten cymbał pozwala sobie na głupie żarty!!

Za chwilę panowie wymieniali bilety wizytowe. A nie byłoby pojedynku, gdyby piwosz wiedział, że nazwę angielskiego piwa wymawia się: „el"...

Prócz piwa, koledzy po flaszce naszych rodzimych pijaków lubią popijać „whisky and soda". Jak się wymawia tę nazwę? Nasi krajowi „Anglicy" wymawiają ją w ten sposób:

— Garson, podawaj pan w te chwyle łysky i małego syfoniku wody sodowej!

Rdzenny Anglik mówi krócej:

— Uiski end soda!

Wogóle — czytać po angielsku jest niezwykle trudno, a cóż dopiero wymawiać, a tembardziej zrozumieć! Naprzykład: pisze się „nasturtium" (nasturcja), a czyta się „nesteszem", z akcentem na „ste". Ładny kwiat!....

W języku polskim są też podobne zasadzki na cudzoziemców. Naprzykład urzędnik napisze: „proszę o podwyżkę", a zaraz wymawiają — posadę!

Inny przykład. Ktoś napisze:

— Obiady na świeżem maśle po 80 groszy.

A człek biegły w języku polskim czyta:

— Katar żołądka...

Dokończenie na str. 18-tej



Kiedy rozpoczyna się życie...

Każdy żywy organizm zabezpiecza byt swego gatunku przez wydawanie potomstwa. Powstanie nowych osobników poprzedza zwykle zlanie się treści dwóch różnych komórek płciowych, żeńskiej i męskiej, rezultatem czego jest zarodek rozwijający się w nowy organizm. Często jednak zwłaszcza u niższych roślin i zwierząt widzimy formę rozmnażania się bezpłciowego czyli wegetatywnego. Dla powstania nowego osobnika czy też większej ilości osobników wystarczy jeden organizm macierzysty. Bezpłciowo rozmnażają się bakterje przez ustawiczne podziały lub tworzenie zarodników silnie obłonionych, pozwalających im przetrwać niedogodne warunki zarówno suszy jak i wilgoci, gorąca i zimna; przeważnie przez podział rozmnażają się najprostsze istoty jednokomórkowe — pierwotniaki.

Niekiedy organizm rozradza się przez pączkowanie. Na organizmie macierzystym tworzą się drobne wypukłości, które przez jakiś czas pozostają w nim w ścisłym związku, a wkońcu odrywają się i zaczynają samodzielne życie, aby znowu, gdy osiągną dojrzałość w ten sam sposób dać początek nowemu osobnikowi. Ten sposób rozmnażania cechuje naszą słodkowodną hydrę. U morskich jamochłonów jak np. dobrze znanych korali pączki nie odrywają się, lecz pozostają przy organizmie macierzystym i dzięki temu powstają nieraz olbrzymie kolonje. Wśród kolonjalnych osobników zachodzi wyraźny podział pracy. Jedne z owych pączków, zwane polipami, pełnią czynność odżywiania całej kolonji, inne biorą na siebie zadanie obrony, jeszcze zaś inne przyczyniają się do rozmnażania kolonji.

W świecie zwierzęcym znane jest również zjawisko przemiany pokoleń, które polega na tem, że po pokoleniu powstałem na drodze bezpłciowej następuje pokolenie rozmnażające się płciowo. Tak np. rozmnażają się morskie krążopławy, do których należy nasza chełbia morska (Aurelia aurita) czyli meduza, pływająca po falach Bałtyku, znana niejednemu letnikowi odwiedzającemu to morze. Owa parasolowatego kształtu meduza, galaretowata i przeźroczysta, unosząca się swobodnie po wodzie przez skurcz i rozskurcz swego ciała, wytwarza jaja lub plemniki, przez których połączenie wytwarza się organizm potomny w niczem nie przypominający, możnaby rzec, ani ojca ani matki. Wytwarza się polip woreczkowatego kształtu, który dolną stroną swego wydłużonego ciała, tak zwaną podeszwą przytwierdza się do dna morskiego, po przeciwnej zaś stronie posiada otwór gębowy otoczony wieńcem ramion. Przez liczne poprzeczne przewężenia, drogą podziałów powstają z niego meduzy wolno pływające. W ten sposób dopiero wnuczka podobna staje się do swej babki.

W związku z przemianą pokoleń pozostaje u niektórych owadów zjawisko dzieworództwa zwanego też partenogenezą. Polega ono na tem, że nowe osobniki rozwijają się z jajeczek niezapłodnionych. U mszyc np. po kilku pokoleniach dzieworodnych samic zjawia się wreszcie również na drodze partenogenezy powstałe pokolenie samiczek i samców, które rozmnażają się płciowo.

Dzieworodność występuje również u pszczół, co po raz pierwszy stwierdził u tych owadów ksiądz Jan Dzierżon, zwany ojcem pszczelarstwa. Matka-królowa zapłodniona raz na całe życie przez trutnia w podniebnym locie godowym, przechowuje plemniki w specjalnym zbiorniku i dowolnie reguluje ich dopływ do jajeczka. Jeżeli jajko opuszczające ciało matki-królowej zostanie zapłodnione, wówczas rozwinąć się z niego może robotnica lub przyszła królowa, gdy zaś jajeczko nie połączy się z plemnikiem, powstanie truteń.

Łączenie się plemnika z komórką jajową może zachodzić nazewnątrz lub wewnątrz organizmu macierzystego. Ryby np. składają swą ikrę, będącą olbrzymią ilością drobnych jajeczek, wprost do wody, a samczyki w czasie tarła polewają je swem mleczkiem. Tę właściwość ryb wykorzystał człowiek w gospodarstwach rybnych, wpływając w wylęgarniach łososi, na łączenie się plemników z komórkami jajowemi. Zewnętrznemu zapłodnieniu podlega również skrzek żabi, oraz jajeczka morskich szkarłupni, jeżowców i rozgwiazd. Ponieważ w tym wypadku łączenia się dwóch płciowych komórek poza organizmem, szanse ich spotkania nie są zupełnie pewne, nic dziwnego, że komórek jajowych jest tak wiele, tem bardziej, że są one elementem zupełnie biernym.

Ilość jajek wytwarzanych przez zwierzęta pozostaje w ścisłym związku z ich bezpieczeństwem oraz opieką nad wylęgłem potomstwem. Wszystkie te organizmy, których jajka nie mają zapewnionej należytej i pewnej opieki oraz warunków egzystencji, składają tych jajek bardzo dużo. Zjawisko produkowania olbrzymiej ilości jaj można obserwować u owadów.

U gadów ilość jej znacznie spada, chociaż u krokodyli dochodzi ona do kilkudziesięciu, u ptaków zaś ogranicza się ona zaledwie do kilku sztuk. Liczba przychodzącego na świat potomstwa u ssaków nieraz redukuje się do jednego tylko osobnika jak np. u słonia, konia czy krowy i innych jeszcze zwierząt.

Ze spadkiem ilości złożonych jajek, mających dać początek życiu, czy też ilością żyworodnych młodych pozostaje troska o potomstwo, która zwiększa się w miarę stopnia organizacji zwierzęcia i jego stanowiska w systemie. W związku z tem, im zwierzę w hierarchji swego wielkiego królestwa zajmuje wyższe miejsce, tem dłuższy jest u niego okres, jaki mija od chwili zapłodnienia do wylęgu.

Niektóre z jajek rozwijają się bardzo szybko. U muchy domowej z maleńkich jajeczek, składanych grupkami już po 6, niekiedy po 24 godzinach wylęgają się larwy; po przejściu przez stadium nieruchomej poczwarki rozwijają się one po czterech tygodniach w uskrzydloną muchę, która z wesołym brzękiem leci w nowy, nieznany jeszcze świat.

Po trzech dniach wylęga się w państwie pszczół, ze złożonego przez królową-matkę jajeczka, mała, beznoga i pozbawiona oczu larwa, zdana całkowicie na łaskę pszczelich piastunek, aby znieruchomieć i dopiero po 21 dniach ulec przemianie na dorodną młodą pszczółkę-robotnicę. Truteń do rozwoju swego wymaga 24 dni, a matka-królowa rozwija się najkrócej, bo dni 16.

Motyle wymagają już znacznie dłuższego czasu, zwykle kilku miesięcy, aby ulec zawiłym przemianom i ukazać się w całej krasie swej urody.

Maleńkie jętki jednodniówki cieszą się życiem tylko przez jeden dzień. Żyją po to, by złożyć do wody drobne jajeczka a potem giną. Z jajeczek tych wylęgają się drapieżne larwy, które żyją dwa do trzech lat, aby się ostatecznie przemienić znowu w dorostego jednodniowego tylko owada. Chrabąszcz majowy wymaga dla osiągnięcia pełni swego rozwoju trzech lat; naogół jednak okres, który mija od zapłodnienia do wylęgnięcia się nowego osobnika, nie trwa u owadów zbyt długo. Wyjątek stanowi egzotyczny piewik, należący do jednych z najładniejszych pluskwiaków, którego larwy żyją pod ziemią aż 17 lat.

Ptaki, których młode lęgną się przeważnie niedołężne, znoszą jajek niewiele i bardzo dużo starania poświęcają swemu potomstwu. Kos po dwóch tygodniach siedzenia na jajkach już ogląda swe młode, kura natomiast siedzi na jajach, ogrzewając je ciepłem swego ciała przez trzy tygodnie, a dopiero po upływie tego czasu maleńkie, żółtym puchem pokryte pisklęta wydostają się na świat, rozbijając wapienną skorupkę dzióbkiem, posiadającym specjalny wyrostek, który potem znika. U bocianów, młode potrzebują mniej więcej miesiąca czasu, aby wydostać się z jajek. Małe te niedołęgi wymagają dużej troskliwości ze strony rodziców. Znacznie większy od bociana ptak, mieszkaniec afrykańskich stepów — struś o szczególnie pięknych piórach skrzydeł i ogona, dopiero po 50-ciu dniach ogląda swe małe. Jajo jego waży tyle, ile mniej więcej 24 jaj kurzych i posiada bardzo twardą skorupę.

U zwierząt ssących okres wylęgania się jest również różny. Myszy, rozmnażające się kilka razy do roku, wydają potomstwo po trzech tygodniach, ich wróg kot wymaga dwóch miesięcy dla swego rozwoju, a dziki i potężny jego krewny — lew, może się cieszyć potomstwem dopiero po czterech miesiącach. W podobnym czasie rodzą się niedźwiadki, które wyglądają bardzo niewinnie, jak puszyste „misie" do zabawy, i niczem nie zdradzają przyszłych potężnych i drapieżnych zwierząt. Potomstwo małpie rodzi się po siedmiu miesiącach i otaczane jest nadzwyczajną czułością przez matki (określaną przez ludzi nazwą „małpiej miłości"). Ociężały i wielki hipopotam — koń rzeczny, znany z nad jezior i rzek Afryki, ogląda swe potomstwo po 300 dniach; niemal roku wymaga całkowity rozwój młodego hipopotamka. U naszego koni domowego okres ten przedłuża się o kilkadziesiąt dni. Egzotyczna żyrafa wydaje na świat młode po upływie 440 dni, a olbrzymi słoń rodzi tylko jedno młode po okresie blisko dwuletnim, przyczem rozmnaża się bardzo rzadko. Olbrzymie ssaki morskie — wieloryby grenlandzkie, przypominające swym wyglądem jakieś potworne ryby, osiągające długość nawet ponad 20 metrów, z paszczą, w której mogłaby się zmieścić łódka wraz z rybakami, noszą swe młode nawet do dwóch lat, przyczem takie wielorybie „niemowlę" w porównaniu do innych zwierząt jest już olbrzymem, gdyż długość jego ciała przekracza nawet 5 metrów.

Śledząc okres czasu, który mija od zapłodnienia aż do wylęgu u najrozmaitszych przedstawicieli poszczególnych grup świata zwierzęcego, można zauważyć, że przedłuża

Dokończenie na str. 18-tej.

SPOTKANIE W ZOO

Na obrazku w słońca blasku
miły widok, dobra treść:
I żyrafie też potrafię
— mówi dziecko to — dać jeść!"

W fotografji więc żyrafiej
taki właśnie prosty sens:
Każde zwierzę przyjmie szczerze
z takiej rączki smaczny kęs!

WIT.



TUNIS *ciągle aktualny!*

Podróż premjera Daladiera, o której tak głośno było doniedawna w prasie, nie obyła się bez zgrzytów. Skłębiły się falą demonstrującego tłumu wąskie, kręte uliczki w tunetańskiem „Kasbah“, bojowe okrzyki Arabów podeszły w pobliże Bardo, którego komnaty gościły owego dnia francuskiego premjera. Ze wzruszeniem słuchał Daladier toastów i podniosłych przemówień, któremi witali go tunetańscy dostojnicy, a w pierwszym rzędzie władca Ifrikiye (Tunis w języku arabskim), Bey Sidi Ahmed II-gi. Potem prawiono sobie mnóstwo grzeczności, lekko i łatwo płynęły słowa o wzajemnem przywiązaniu, o tem, że Tunis wiernie stoi



Ogólny widok miasta z terasy na dachu pałacu Beja Tunisu.



Na lewo: Kobiety tunetańskie noszą charakterystyczne stroje, bogato zdobione złotem i srebrem.



Poniżej: Arabska dzielnica handlowa w Tunisie.

u boku Francji i że tak już zostanie.

A tymczasem z ulic, otaczających pałac Bey'a, z ciasnych i ciemnych zaułków dochodziły słowa, które brzmiały inaczej, głosy, w których nie było ciepłych, przyjaznych tonów. Twarze tubylców błyszczą podnieceniem, w oczach gra nienawiść i zaciętość. „Tunis dla Tunetańczyków“ — krzyczą wiatrem wzdęte transparenty. „Niech żyje Destur“ — krzyczą twarze, brązowe i złe w bieli burnusów... Nadbiega policja. Głosy milkną. Potem wzburzona fala rozpryskuje się w zaułki — oporniejsi jeszcze tkwią w miejscu: wchłaniają ich stojące w pogotowiu auta policyjne.

Demontsracje antyfrancuskie są dziełem potężnej organizacji, działającej w Tunisie pod nazwą Destur. Partja ta, założona na kilka lat przed przejściem Tunisu pod protektorat francuski przez generała Kereddina, skupia w swem łonie najbardziej nacjonalistyczne żywioły, a liczne fakty wskazują na jej ścisłą współpracę z bratniemi organizacjami Algeru i Marokka. Ostatnio, naskutek wydatniejszej pomocy materjalnej, udzielonej partji przez jedno z państw europejskich, jej działalność znacznie się ożywiła. Najsilniejsza propaganda antyfrancuska w Tunisie przypada na czas rządów Frontu Ludowego we Francji.

Czemuż więc należy przypisać fakt, że mimo tej propagandy, zasilanej nieustannie przez pewne czynniki, jej rezultaty są dość nikłe, a zasięg wpływów Desturu nie wzrasta w stosunku wprost proporcjonalnym do natężenia kampanji przeciw Francji? Gdzie należy szukać przyczyny, dla której większość ludności tubylczej w Tunisie jest, powiedzmy krótko, zadowolona z rządów francuskich? Odpowiedź prosta: Francja nigdy nie nadużyła swej władzy w tym kraju, ludzkie i liberalne traktowanie mieszkańców przez urzędników francuskich przyczyniło się do usunięcia dystansu między nowymi panami a autochtonami (inaczej np. w kolonjach włoskich). Francja zachowała tu odwieczny podział administracyjny kraju. Według niego, ludność Tunisu dzieli się na plemiona i drobniejsze szczepy, podlegające bezpośrednio 36-ciu khadim i 600 szeikom. Ich czynności są kontrolowane przez 19-tu urzędników francuskich, rezydujących w 5-ciu rejonach, które biorą nazwę od swych głównych miast: Biserta, Tunis, El Kef, Suza i Sfax.

Byłem w Tunisie przed kilku miesiącami. Wówczas jeszcze na ten kraj nie spoglądał z niepokojem cały świat. A jednak wyczuwało się w tutejszej atmosferze szybko wzbierające napięcie. Włosi z dumą mówili o coraz potężniejszej Pantellerji, przeciwstawiając dynamizmowi Italji marazm, w jaki popadła Francja naskutek wstrząsu, spowodowanego zgubną polityką Frontu Ludowego. W kawiarniach stolicy zawzięcie dyskutowano na tematy polityczne. Pamiętam pewnego Francuza, który kłócił się namiętnie ze swoim przyjacielem, Włochem. starając się go przekonać, że Pantelleria to wielki humbug, że Italja robi wiele hałasu o nic, aby skłonić Anglję do wyrzeczenia się Malty na jej korzyść.

— Ha, ha! — ryczał rozbawiony Włoch — nie brak ci fantazji! A pocóż nam teraz Malta? To było dobre przed laty, kiedyśmy nie doceniali jeszcze wspaniałej strategicznie Pantellerji. Przecież ta wysepka, ten niepozorny, na pierwszy rzut oka, cypel skalny, to nieoceniony punkt oparcia na morzu Śródziemnem. Leży niemal w połowie drogi z przylądka Bon do najbardziej na południowy-zachód wysuniętego punktu na Sycylji. Czyli, że w zasięgu nośności jej dział znajdzie się każdy okręt płynący przez gardziel, którą tworzą w tem miejscu wybrzeża Afryki i Europy.

Francuz myślał przez pewien czas. A po namyśle powiedział:

— A zresztą — dlaczego mamy przypuszczać, że Włochy sięgną po tak małe terytorjum? Przecież już słynna jest na cały świat owa „czwarta wyspa“ Imperjum rzymskiego, ta „tabula rasa“ terenów ekspansji faszystowskiego imperjalizmu. Wygląda to tak: w Rzymie, na Via dell' Impero umieszczono niedawno trzy mapy plastyczne. Pierwsza przedstawia Rzym Grakchów —

ot, niewielkie państwo. Na drugiej jest już cesarstwo rzymskie — olbrzymie. Cały prawie ówczesny świat Trzecia mapa, to Rzym Mussoliniego. Potężne, rozległe Imperjum. Czwartej mapy narazie niema. Ale zostawiono na nią miejsce. I wszyscy, którzy spoglądają na owe trzy mapy, wiedzą, że ta naga przestrzeń zostanie wkrótce przykryta. Jak będzie wyglądała „czwarta mapa" Imperjum Romanum?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Francuz wzburzony opadł na fotel i zatonął w rozmyślaniach. Za oknem wrzał Tunis, dyszący tętentem pracy, nieprzeczuwający niepokoju, który ogarnie świat z jego przyczyny.

Aż pewnego dnia rozległ się w Camera Fascista głos, żądający Tunisu, Korsyki, Dżibutti, Nicei. A potem gazety pisały o „dramacie Korsyki i Tunisu". Wzburzano włoską opinję wieściami o prześladowaniu rodaków, których jedynym grzechem było intonowanie „Giovinezzy" w miejscach publicznych. Przypomniano narodowi proroctwo Garibaldiego, który tak pisał: „La Corsica e la Nizza non debbeno apparienere alla Francia; e verra un giorno, in cui l'Italia, conscia del sue valore, richiamera a ponente ed a levante le provincie sue, che erroognosamente langueono sotto la dominazione straniera". (Korsyka i Nizza nie mogą należeć do Francji; i nadejdzie dzień, w którym Italja, świadoma swego znaczenia, upomni się na wschód i zachód o swoje prowincje, które sromotnie jęczą pod obcem jarzmem). Uczyniono z tego proroctwa transparent na czele spienionego pochodu, demonstrującego przeciw Francji na terenie całego Imperjum, od Addis Abeby po Zarę i Triest, od Gadames po Turyn.

Nie łudźmy się: kwestja żądań włoskich musi być rozwiązana w jakikolwiek sposób. We Włoszech panuje przekonanie, że w razie nieustępliwości Anglji i Francji, wojna wybuchnie z wiosną.[1]) Bo zważmy: czy opłaci się osi Berlin—Rzym czekać, aż demokracje prześcigną ją w wyścigu zbrojeń? To nieprawda, że Włochy nie są dostatecznie zaopatrzone w żywność na wypadek wojny. Przecież już od dłuższego czasu gromadzono olbrzymie zapasy zboża, przeważnie argentyńskiego, a włoskie fabryki konserw zwielokrotniły produkcję. I to nie były czcze przechwałki, kiedy pisma odpowiedziały pani Tabouis, która pisała o głodzie, zagrażającym Italji: „Tak, w czasie wojny będziemy jedli nasze spaghetti — ale głodu nie zaznamy". A przygotowanie na innych polach? — Kto miał okazję zwiedzić „Wystawę autarkiczną kopalin włoskich", otwartą przed niedawnym czasem w rzymskim „Circo Massimo", ten będzie miał jasną odpowiedź i na to pytanie. Warto poświęcić parę słów temu imponującemu osiągnięciu nowej Italji.

Przyjdziemy tutaj wieczorem. Wtedy wytworne, zgrabne pawilony ociekają oślepiającem światłem, a w głębi jaśniejącej perspektywy wzbija się do lotu olbrzymi, marmurowy orzeł — symbol autarkji. Pod nim napis: „Mussolini ha sempre ragione" (Mussolini ma zawsze rację). Przed wejściem na teren wystawy stoi potężna lokomotywa, w całości zrobiona w kraju. A teraz pierwszy pawilon, poświęcony zagadnieniu węgla włoskiego. Na marmurowych ścianach wykresy, wykresy, wykresy. Rok sankcyj stanowi wyraźny przełom w postępie samowystarczalności — od niego datuje się szybki marsz Włoch ku pewnemu uniezależnieniu się od zagranicy. Obecnie kopalnie w Istrji i na Sardynji dostarczają 600 miljonów tonn węgla rocznie. Zastosowano w nich najnowocześniejsze urządzenia, których modele, precyzyjnie skonstruowane, oglądamy w pawilonie węglowym. Schodzimy wdół, krętym, słabo oświetlonym korytarzem. Zwolna zatraca się świadomość, że to tylko wystawa, że te bryły minerału, w które lśniący od potu robotnicy monotonnie uderzają oskardami, znoszono tu z ogromnym nakładem pracy. Aż dobywamy się na powierzchnię ziemi. Nowy pawilon — ceramika włoska. Zastanawiamy się chwilę, co robią tutaj etruskie wazy i mozaiki pompejańskie, poczem idziemy, dalej, gdzie piętrzą się nowe minerały, gdzie na ścianach męczą wzrok nowe wykresy. Africa Orientale Italiana — włoska Afryka wschodnia. Wzdłuż ściany, piaszczystem łożyskiem płynie strumień. Jego wody, skierowane do płuczkarki, barwią się wkońcu złotym pobłyskiem. Oto piasek strumieni abisyńskich — złoto. A tutaj... — bryła, pokryta cieniutką warstwą platyny. Wreszcie drogie kamienie z Etjopji. Eksploatacją minerałów w kolonjach włoskich zajmuje się S. M. I. T. — Societa Mineraria Italo-Tedesca — włosko-niemieckie towarzystwo kopalniane.

Interesująco przedstawia się „pawilon naftowy". Tutaj króluje... Albanja. Niemal wszystkie kopalnie nafty w tym kraju należą do Włoch. Valona, port albański, pracuje wyłącznie dla eksportu włoskiego. — Dlatego w czasie wojny z Abisynją, Italja miała dostateczną ilość benzyny.

Potem armaty. Działa wszelkiego rodzaju. Broń, broń, broń. Silniki Fiat brzęczą, jak natrętne muchy, z drugiego końca wystawy. A tu pawilon, cieszący się największem po-

Dokończenie na str. 18-ej.

Poniżej: Dawny port w Kartaginie, widziany ze wzgórza Byrsa.



Na prawo: W niektórych miastach Tunisu ludność gnieździ się w pieczarach i ruinach, przypominających niemal przedpotopowe ludzkie mieszkania.



[1]) Artykuł pisany był zimą.

Uczmy się dobrych manier! na to nigdy nie jest zapóźno!





A gdzież się podziała chusteczka do nosa tego gentlemana?

ZDJĘCIA C. ANDERS — PARYŻ.



Czytanie w czasie obiadu, spożywanego w towarzystwie choćby własnej żony, to przejaw powojennej kultury.

Często słyszy się zdanie, że po wojnie zasady „savoir vivre'u" uległy daleko idącym przemianom, że wiele z tych zasad przestało nas obowiązywać, że ludzie pozbyli się w ten sposób niepotrzebnego balastu, na który składało się wiele śmiesznostek z ub. wieków. będących anachronizmem w epoce radja, samolotów i innych cudów postępu technicznego i intelektualnego.

Jest w tem wszystkiem odrobina prawdy, ale tylko w odniesieniu do samego faktu, że takie przemiany nastąpiły. Przyczyn zjawiska trzeba jednak gdzieindziej szukać. Tkwią one w destrukcyjnym wpływie wojny na obyczaje, wojny, która wyzwala najniższe instynkty w ludziach, czyniąc ich podobnymi do zwierząt. W okresie, gdy do głosu dochodzą prawa wojny. wszystko inne podciągane przez nas pod pojęcie kultury, cywilizacji, staje się pustym frazesem. Nic więc dziwnego, że i zasady „savoir vivre'u" przestają wówczas obowiązywać tych, którzy w ogniu wojennej pożogi spalają dorobek kultury wielu pokoleń.

Obserwując dzisiejsze życie, dochodzimy do smutnego wniosku, że ludzie ulegli po wojnie schamieniu. które przejawia się w całem ich nastawieniu nietylko do problemów dnia powszedniego, ale i do zagadnień, związanych ze sztuką i nauką. Pęd do uproszczenia sobie drogi życiowej kosztem odrzucenia najistotniejsych zasad dobrych obyczajów jest jednem z ogniw w łańcuchu tych fatalnych przemian. A jak się to wszystko uzewnętrznia „na codzień?" Ktoś, kto chce żyć łatwo i wygodnie, dochodzi do wniosku, że tylko zupełna swoboda postępowania może mu takie życie udostępnić. Nie krępuje się nikim i niczem. Co więcej, zatraca z czasem zdolność krytycznego spojrzenia na swe czyny. A wówczas? — wówczas nawet w drobnostkach staje się niewychowanem... zwierzątkiem.

el.



Ostentacyjne posługiwanie się wykałaczką *nie* ma nic wspólnego z estetyką.



Śmietnisko na obrusie — nerwy? roztargnienie? Nie! Poprostu złe wychowanie.



Oto „estetyczna" poza...



Nadpalona zapałka spełnia rolę ołówka w rączce „damy", która pisze po... obrusie.



Chyba się skaleczyła? Gdzież tam! To jedno z jej przyzwyczajeń.



Pisanie nie może obejść się bez „obgryzania" ołówka.



Ona ma chyba gorączkę i przez to spieczone wargi? Nic podobnego! To jej tick.

Dokończenie ze str. 10-tej.

wiedzie. Jest więc trochę zgorzkniały, a jego żona jeszcze więcej. Próbujemy się czasem spotykać, ale się to nigdy nie udaje. I to wszystko...

— Tak to wszystko.

— Czy pan... nigdy nie miał zamiaru się ożenić?

— Nie. Lecz kilka razy sądziłem, że mógłbym zostać ożenionym. Wszystkie kobiety, które chciałbym poślubić, były już zamężne.

— Ach, czy to przeszkoda?

— Czasem. Jest wiele kobiet, które w głębi wolą swych mężów.

— — — — — — — —

Minął tydzień od kiedy Filip przyjechał do Saint Bragard. Dostał list od Marji Klaudji: „Ależ Filipie, Filipie! Cóż ci przyszło na myśl wybrać się w tego rodzaju podróż? Wyjechać do Saint Bragard teraz, kiedy nie spotkasz tam ani jednej kobiety w shortach. W każdym razie, mój panie i drogi narzeczony, pozwól sobie przypomnieć, że oficjalny obiad z okazji naszych zaręczyn odbędzie się w najbliższą środę 12 bm.".

— Muszę pana pożegnać — powiedział Filip do Stefana Hourdel — jutro wyjeżdżam.

Byli za willą, przed słupami patio, do którego wchodziło się po gruzach. — Jak na wszystkich budowach świata leżały tam potłuczone cegły, rozrzucony cement, pobielone drzewo, puste pudełka z konserw i resztki skórki z pomarańczy. Co prawda ani śladu szlachetnych dekoracyj. Lecz...

— Pan już wyjeżdża? Jakże mi smutno!

— Wzywają mnie do Paryża!

Filip pokazał list Marji Klaudji, który trzymał w ręce. (Pisma Stefan nie mógł poznać, pisma którego nigdy nie widział, pisma swej córki).

Pan Hourdel uśmiechnął się.

— Kobieta?

— Coś więcej, moja przyszła żona.

— Ach, pan jest zaręczony?

— Jesteśmy po słowie. Lecz muszę jeszcze prosić ojca o jej rękę.

— Ach! Formalność!

Minęła chwila zanim Filip odpowiedział:

— Może... Zdaje mi się, że jeśli ojciec kocha swą córkę, to powinno to być dla niego rzeczą bardzo ważną, bardzo wzruszającą — jednym z największych wydarzeń w życiu.

Stefan Hourdel nie odpowiedział nic. Zdawało się, że patrzy daleko, na morze. Dokoła jego ust utworzyły się dwie głębokie bruzdy.

— ...sprawą, której nie powinno się ojca pozbawiać... — ciągnął łagodnie Filip.

Pan Hourdel patrzył w dal, a Filip dodał:

— Nazywa się Marja Klaudja Laroche-Grimbert.

Stefan odwrócił się gwałtownie. Filip nie cofnął spojrzenia...

Cisza. Ptaki świergotały... cykały świerszcze, na cegłach dźwięczały młotki, na ulicy rozmawiały głośno jakieś kobiety, lecz między dwoma mężczyznami zaległa cisza.

Głęboka, pełna cisza.

— Czy pan — zaczął Stefan Hourdel wahającym się głosem, nie zważając na to, że pytanie nie łączyło się z rozmową, — czy pan przyjechał do Saint Bragard... w sprawie letniska?

— Nie — odrzekł Filip — przyjechałem zobaczyć kogoś... i widziałem.

— Ach! powiedział pan Hourdel głęboko.

I znów zaległa cisza ponad stukiem młotka, świergotaniem ptaków, rozmową kobiet i cykaniem świerszcza.

— Składam panu najlepsze życzenia z okazji tego małżeństwa. Jestem pewny, tak jestem pewny, że pan da tej młodej dziewczynie szczęście.

Filip uśmiechnął się zadowolony z tego, zadowolny z pana Hourdel. Zadowolony. Lecz tylko się ukłonił. Bał się powiedzieć słowo za dużo.

Teraz i jeden i drugi odwrócił głowę.

Uczynili kilka kroków, wymówili dwa czy trzy zdania.

— Muszę się już z panem pożegnać — powiedział Filip.

— Lecz,.. czy będę miał przyjemność zobaczyć pana jeszcze kiedyś?

— Może nigdy!... Nie sądzę, żebym tu przyjechał po ślubie... Myślę, iż lepiej będzie tutaj nie przyjeżdżać... że tutejszy klimat wpłynąłby przygnębiająco na moją narzeczoną.

— Ach tak... Istotnie ma pan rację... trzeba myśleć przedewszystkiem o niej.

Przybyli do bramy. Filip wyciągnął rękę. Pan Hourdel uścisnął ją mocno. Wszystkie słowa, które padły między nimi były tak proste. Pozostało tylko jedno, jeszcze prostsze:

— Dziękuję panu! — powiedział ojciec Marji Klaudji.

(Dokończenie ze str. 11-tej).

Albo też czcigodna wdowa napisze:

— Pokój komfortowy, ślicznie umeblowany, do wynajęcia od zaraz.

A czytać należy:

— Graciarnia w czterech brudnych ścianach u starej jędzy...

Tych kilka przykładów objaśni nas, że nietylko niesłusznie rozreklamowany pod tym względem język angielski, ale także i nasz rodzimy język polski posiada wiele niespodzianek dla niezbyt biegle władającego tym językiem.

Są różne zalecenia, jak należy, ogólnie biorąc, wymawiać słowa angielskie. Do najpopularniejszych sposobów należy włożenie do ust gorącego kartofla i mówienie dość szybko po niemiecku. Wtedy „wyjdzie", jakbyśmy mówili po angielsku. Jest to zresztą sposób Vlasty Buriana, zastosowany w jednym z jego filmów. Nawiasem mówiąc obecnie rodacy p. Buriana kładą do ust wogóle tylko gorące kartofle i muszą myśleć po niemiecku — co oczywiście nie brzmi bynajmniej po angielsku...

Na opactwie Westminsterskiem w Londynie widnieje wspaniały, słynny zegar, zwany „Big Ben".

Podobno w Tel Aviv'ie ma być niebawem zawieszona jego kopja. Ten nowy zegar ma otrzymać nazwę — „Big Beniek".

Na północ od rdzennych Anglików mieszkają Szkoci. Szkotom w Polsce najbardziej podobałoby się PKO.

Szkoci są bowiem niesłychanie oszczędni. Nawet najbardziej lekkomyślny i samowolny Szkot — liczy się z groszem...

Opowiadają, że pewnego młodego Szkota napadli bandyci.

— Pieniądze, albo życie! — krzyknął starszy zbójca.

Co miał uczynić biedny Szkocina? Oddał pieniądze. Zapłakany wrócił do domu.

— Co się stało? — pyta go ojciec.

— Napadli mnie bandyci, tato. Postawili mi ultimatum: pieniądze, albo życie. Oddałem im wszystko, co miałem przy sobie — pięć pensów!

Stary Szkot skrzywił się z niesmakiem.

— Ty zawsze musisz przepłacić, lekkomyślny chłopcze!...

Na zakończenie warto zaznajomić się z kilkoma najważniejszemi zwrotami mowy Anglików. A więc na powitanie mówi się zawsze:

— How do you do? (czytaj: hau du ju du?)

Znaczy to po polsku, mniej więcej.

— Serwus!

Albo:

— O, cześć! Padam do nóżek! Sługa pana radcy!

Albo nawet:

— Ach, dobrze, że cię spotykam: pożycz mi dwa funty pod słowem do jutra!

Jak widać, mowa angielska jest dość zwięzła.

Gdy się przemawia, należy zacząć od słów:

— Ladies and gentlemen! (ledis end dżentlmen).

Gdy się przemawia w męskiem kółku, w którem obecny jest także znakomity brat mistrza Kiepury, można powiedzieć:

— L a d i s and gentlemen...

Powiedzieliśmy: „pożycz mi dwa funty"... Co to znaczy? Otóż walutą angielską jest funt. Funt waży około 25 złotych.

W Polsce, żeby mieć powodzenie, trzeba mieć łut szczę
stopie, to też im żyją na szerszej
łuta, ale conajmniej licy ścia potrzeba nie
— Co kraj — to obycz. funtów.

Warto jeszcze wspomnieć,
szą ubrania z oryginalnych anglicy nosza
terjałów, a gogusie i snobi angielsch ma-
ubrania z materjałów — bielskich. ·oszą

Prof. PIGEON.

Dokończenie ze str. 12-ej.

się ono w miarę tego, jak zwierzę zajmuje wyższe miejsce w systemie, a poniekąd pozostaje wielkość w łączności z rozmiarami ciała danego organizmu. Podobnie ilość produkowanych jaj lub wydawanych żywych młodych maleje w miarę wzrastającej organizacji zwierzęcia oraz z warunkami zapewniającemi należyty rozwój potomstwu. Szczególną płodnością odznaczają się przedewszystkiem te organizmy, których jajka czy też potomstwo są narażone na liczne niebezpieczeństwa.

Często uderzać musi fakt, że zwierzęta niewielkie wydają potomstwo bardzo liczne, podczas gdy zwierzęta duże ograniczają ich liczbę nierzadko tylko do jednego. Jasnem jednak stanie się to zjawisko, gdy zwrócić uwagę na środowisko, w którem z zapłodnionego jaja rozwija się młody organizm oraz warunki, które pozwolą na osiągnięcie dojrzałej postaci, podobnej do rodzicielskiej.

Zwierzęta, które warunkują pomyślny rozwój swym młodym i mają stosunkowo niewielu wrogów zagrażających ich życiu rodzą tych młodych niewiele, inne zaś wielką ilością złożonych jaj ratują byt swego gatunku przed całkowitą zagładą.

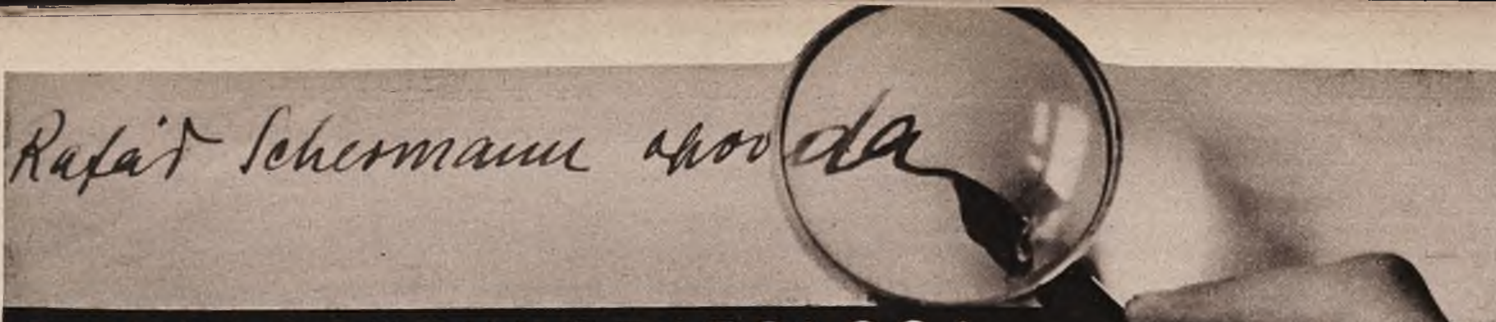
Zwierzęta, które zapewniają pomyślny rozwój swym młodym, często tak wiele uczucia wkładają w swe obowiązki macierzyńskie i mówiąc po ludzku — poświęcenia, że nieraz zawstydzić mogą nawet człowieka. **Dr Z. M.**

Dokończenie ze str 15-ej.

wodzeniem: ogród zimowy. Na estradzie, otoczonej zwartym kręgiem stolików, jakaś wybitnie nie-włoska para szaleje w rytmie nie-włoskiego step'u, nucąc od czasu do czasu angielskie przeboje akcentem „made in Broadway". Przy stolikach wytworne, rozbawione towarzystwo. Po chwili, w objęciach barwnych reflektorów, przy dźwiękach znakomitego jazzu, pary splecione ciasnym uściskiem zapominają, że wokół odbywa się przegląd sił, wykuwanych w twardym rytmie pracy, że może pod ich stopami półnadzy robotnicy monotonnie biją oskardami w węglowe bryły. Rtęć włoska?... dobrze. Aluminjum metalem przyszłości?... zgoda. Ale teraz tańczymy, teraz nie chcemy wiedzieć o niczem innem, nie chcemy słyszeć głosu, który cicho brzęczy poprzez zaporę jazzu. Głos dochodzi z gigantofonu. Jest twardy, butny. I mówi: „Korsykanie są niewolnikami Francuzów. Są bastardami Francji. Zawsze na szarym końcu, gdy chodzi o prawo do pracy, prawo do życia na kontynencie. Tylko nieczni regenaci, jak Pietri, Campinchi, Dominici, alias Dominique, którzy na każdym kroku płaszczą się, akcentując swą wierność i przywiązanie ,a la France", tylko oni dochodzą do majątku i zaszczytów. Ale nadejdzie dzień, w którym będziemy mogli powiedzieć naszym braciom z Korsyki: „Oto niesiemy wam wolność".

Głos umilkł. Na jednym z pawilonów jarzy się napis: La vittoria non è un punto di partenza". Słowa Ducego: zwycięstwo nie jest punktem końcowym — jest ono punktem wyjścia.

O ile podróży premjera Daladiera gazety włoskie poświęciły stosunkowo niewiele miejsca, to dziś, w przeddzień przyjazdu Chamberlaina do Rzymu, pisma pełne są rozważań na temat tej wizyty. Jedno jest pewne: Włosi wiele się po niej spodziewają. A raczej po Mussolinim, który „ma zawsze rację"... — Zobaczymy! **Juljusz Mauber.**



Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA

AUTORYZOWANE TŁUMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO



Spojrzał na mnie, jakby zobaczył ducha, gdyż nie wspomniał przecież ani słowem o celu swej wizyty. Gdy bez słowa położył na stole pocztówkę, pisaną kobiecem pismem, stwierdziłem, że trafiłem w sedno. Ten młody człowiek był po uszy zakochany, różne jednak przeszkody i wątpliwości wzbudziły w jego duszy ciężką walkę. Zarówno rozsądek, jak i serce pociągały go ku małżeństwu, a jedynie obawa przed rozczarowaniem wstrzymywała go przed tym krokiem.

Gdy mu zakomunikowałem to, co widzę w piśmie, oświadczył mi:

— Ma pan zupełną rację, gdyż tak jest naprawdę. Nie wiem, co mam robić, dlatego też przyszedłem po radę do pana. Od pana zależy moja przyszłość.

Badając pismo jego ukochanej, oświadczyłem mu, śmiejąc się:

— Dziękuję panu za zaufanie, ale cokolwiekbym panu powiedział, to i tak jak widzę z pisma ożeni się pan z tą dziewczyną. Wybór pański jest zupełnie trafny i nie będzie pan tego żałował, gdyż osoba, o którą chodzi, jest człowiekiem dobrym, uczciwym i może jej pan zawierzyć swoje życie. A jeżeli się mylę — zakończyłem — może pan do mnie znów przyjść po pewnym czasie, a Schermann zapłaci skargę rozwodową. Nie boję się jednak o to, ponieważ to nigdy nie nastąpi.

Oczy młodego człowieka pałały radością, gdyż wzmocniłem jego decyzję, która dawno już w nim kiełkowała.

Przez wiele lat nie słyszałem o tem małżeństwie ani słowa i nie wiedziałem, czy będzie szczęśliwe jak się tego spodziewałem.

W każdym jednak razie nie kazano mi płacić kosztów rozwodu! Pewnego dnia, gdy znowu znalazłem się w tem mieście, sprowadzony mojemi odczytami, otrzymałem następujące pismo:

„Korzystam z przyjemnością z pańskiej obecności w Morawskiej Ostrawie, aby tą drogą wyrazić panu moje serdeczne podziękowanie. Zapewne nie przypomina sobie pan nic konkretnego, czytając mój list: przed 4-ma laty wskazał mi pan w niezwykle trudnej sytuacji właściwą drogę, którą obrałem i znalazłem na niej tylko dobre i miłe rzeczy. Dziewczyna, której cechy charakteru określił pan tak trafnie z jej pisma, opisując również jej zewnętrzny wygląd w sposób nieomal proroczy, jest od dwóch i pół lat moją żoną. Żyjemy bardzo szczęśliwie, to też moja wdzięczność dla pana jest szczera i głęboka".

Nie każdemu się jednak zdarza, że w właściwej chwili otrzyma odpowiednią wskazówkę, która wskaże mu kierunek, w którym należy mu pójść w przyszłości.

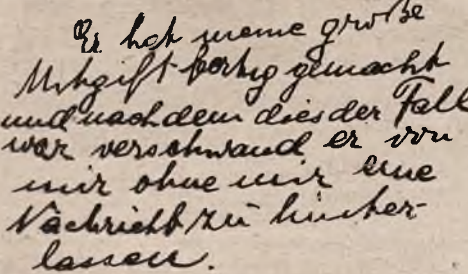
* * *







Odtworzenie zniekształconej nogi na podstawie pisma.



Próbka pisma kobiety, która wyszła za mąż za fałszywego dyrektora hotelu.

MAŁŻEŃSTWO i PSYCHOGRAFOLOGJA.

Każde środowisko, jakiebу nie było, posiada swoje społeczne przesądy, uważając się za lepsze od innych. Przesądy te pozbawiają nas często znajomości lub przyjaźni z ludźmi wartościowymi, nie należącymi do naszej sfery. A ileż dramatów rodzinnych, ileż rozwodów i różnego rodzaju nieporozumień rozegrało się na tem tle!

W sposób niezwykle ciekawy, choć jak zwykle swoisty, omawiał te rzeczy wielki kpiarz Bernard Shaw w swojej książce „Misalliance". Jak przekonać ludzi, że przynależność do pewnej sfery nie decyduje jeszcze o wartości człowieka i że często, przeciwnie mimo tej społecznej „wady", dana osoba może być bardzo wartościowa i wnieść do rodziny nie chcącej jej przyjąć większe walory, niż ona sama posiada? Pozytywnie może o tem zdecydować jedynie grafologja, względnie psychografologja.

W pewnem górnośląskiem mieście mieszkał zamożny kupiec E. A., którego syn, student uniwersytetu utrzymywał przyjazne stosunki z pewną aktorką. Oczywiście, że ta znajomość była dla ojca wysoce niepożądana, a chociaż aktorki, ani on, ani jego żona nie widzieli nigdy na oczy, to jednak nie mogli sobie wyobrazić, aby żona ich syna miała pochodzić ze sfery „komedjantów". Podczas gdy młodzi ludzie zamieniali płomienne listy, zapewniając o swej miłości, a aktorka mimo licznych prób i pracy scenicznej nie omieszkała nigdy dodawać otuchy swemu przyjacielowi przed zdaniem egzaminów, podtrzymując w nim w ten sposób ambicję, stosunki między rodzicami studenta, a nim samym coraz bardziej się pogarszały. Młody człowiek wyobrażał sobie, że uzyskawszy doktorat, zamieszka w dużem mieście, gdyż na prowincji obawiał się wpływu swych rodziców, w czem oczywiście podtrzymywała go jego przyjaciółka. Małżeństwo miało uwieńczyć ich miłość.

Ojciec widząc, że wszelka perswazja pozostaje u jego syna bez skutku, zwrócił się wkońcu do mnie, o którym dosyć dużo słyszał, z prośbą, abym obejrzawszy pismo artystki powiedział mu coś o jej charakterze i o wpływie jej na losy syna. Wobec tego, że dużo wtedy podróżowałem, nigdy nie mogło dojść do naszego spotkania. Wkońcu dnia 30 grudnia 1930 r. przyjechał do mnie do Berlina, przedkładając mi próbkę pisma swego syna i jego przyjaciółki. Poza tem sam skreślił kilka słów: „Syn mój zamierza ożenić się ze swoją przyjaciółką. Jestem stanowczo przeciwny temu małżeństwu i chciałbym się od pana dowiedzieć, czy mam w dalszym ciągu pozostać przy mej decyzji".

Potem przejrzałem pismo artystki, pochodzące z przed kilku lat, a skreślone po próbie scenicznej, w zmęczeniu i zniechęceniu następującem po dużym wysiłku. Pismo to zdradzało tak szlachetny i porządny charakter autorki, że bez namysłu oświadczyłem mojemu klientowi:

— Może pan pogratulować swojemu synowi, że wyszukał sobie taką kandydatkę na żonę, a sobie samemu, że będzie miał pan tak wartościową synową.

W dalszej rozmowie miałem sposobność, dowiedziawszy się różnych szczegółów, potwierdzić jeszcze tylko moje pierwsze wrażenie, ale musiałem sobie zadać dużo trudu, zanim mój klient zdołał zrezygnować ze swojego punktu widzenia. Miłość swego syna do artystki uważał za przelotne „zadurzenie się", nie wierząc w trwałość związku. Wkońcu jednak, przekonany mojemi słowami, skreślił następujące zdanie: „Przypominam sobie słowa mojego syna: Jedyna osoba, która może mnie przekonać, jest Schermann. Często podkreślałem, że ani ja ani moja żona nie przyjmiemy artystki jako naszej synowej. Dopiero po rozmowie z p. Schermannem, która uczyniła na mnie wielkie wrażenie, dowiedziałem się, że sprzeciw mój przeciwko małżeństwu mego syna byłby równoznaczny z utraceniem jego, to też oświadczyłem Schermannowi, że zgodzę się na małżeństwo.

W ten sposób analiza pisma zdołała przekonać człowieka, który nie dał się odwieść od swych społecznych przesądów nawet prośbą rodzonego syna.

* * *

Zdarza się zwykle, że ludzie, którym się dobrze powodzi, nie zwracają uwagi na ostrzeżenia i dobre rady. Są przekonani, że sytuacja ich nigdy się nie może zmienić.

W r. 1926, gdy mieszkałem w Wiedniu, zjawia się u mnie córka pewnego fabrykanta p. A. B. w towarzystwie swojej przyjaciółki, którą znałem od kilku lat. Panna B. zamierzała wkrótce wyjść zamąż: zakochała się w pewnym młodym, eleganckim człowieku, który przedstawił się jako dyrektor hotelu w Barcelonie i, dzięki wielkiej zdolności narratorskiej, przedstawił jej przyszłość w najbardziej różowych barwach. Wszystko razem spowodowało młodą osobę, że marzyła jedynie o poślubieniu dyrektora hotelu w Barcelonie.

Gdy zobaczyłem pismo narzeczonego, krzyknąłem nieomal z wrażenia.

— Co pani chce zrobić najlepszego? — zawołałem. Chce pani za tego człowieka wyjść zamąż? Jeżeli on twierdzi, że jest dyrektorem hotelu w Barcelonie, to pismo jego wykazuje, że nie jest nawet portjerem. Jest to człowiek, który myśli jedynie o pani pieniądzach, pani sama jest mu zupełnie obojętna. Chce jaknajprędzej zabrać pani posag i zapłacić swoje długi, temwięcej, że wierzyciele siedzą mu na karku. Napewno stara się, aby ślub odbył się jaknajprędzej. Człowiek ten nie po raz pierwszy się żeni: niewiadomo, ile już kobiet unieszczęśliwił. Nie mogę pani dosyć energicznie ostrzec przed tym człowiekiem. Unieszczęśliwi on nietylko panią, ale też rodziców jej.

Panna B. siedziała jak skamieniała: nerwowym ruchem wycierała sobie łzy z oczu. Musi się pan mylić, panie Schermann — rzekła wkońcu, nie mogę tego wszystkiego, co pan mi powiedział, przypuszczać o moim narzeczonym.

Następnego dnia zjawił się u mnie ojciec przyszłej ofiary, pan A. B. Był tem, co usłyszał od swojej córki, niezwykle wzburzony. Przybył do mnie, aby znaleźć radę, jak ma postąpić, temwięcej, że córka oświadczyła, iż nie może rozstać się ze swym narzeczonym, a zerwanie jej matrymonjalnych projektów równałoby się śmierci. Wobec tego nie pozostało mi nic inego, jak doradzić panu B., aby starał się doprowadzić do jakiegoś kompromisu, nie dając przyszłemu zięciowi posagu swej córki do ręki. Miał się z nim ugodzić w tym duchu, że posag złożony będzie na nazwisko jego córki i zostanie wypłacony dopiero po trzech latach szczęśliwego małżeństwa.

Niestety, nie poszły osoby zainteresowane za moją radą i w osiem lat później, dnia 12 grudnia 1934 otrzymałem podczas mego pobytu w Pradze list od panny B., która w tym czasie zdołała już wyjść zamąż za domniemanego dyrektora hotelu. List ten brzmiał następujco:

„Niech pan się na mnie nie gniewa za moje natręctwo, że znowu pana proszę o spotkanie. Gdy byłam jeszcze zupełnie młodą i głupią dziewczyną przepowiedział mi pan rzeczy, które sprawdziły się w pełni. Dziś, gdy jestem zupełnie biedną, chciałabym pana znowu prosić o radę. Nie mam zresztą odwagi prosić pana jeszcze o bilet wstępu na jego odczyt".

W trzy dni później ofiara lekkomyślnego małżeństwa odwiedziła mnie w hotelu. Podczas swej wizyty napisała kartkę, w której skreśliła swoje przykre dzieje. Brzmiała ona następująco:

„W r. 1926 chciałam koniecznie wyjść zamąż za człowieka, który podawał się za dyrektora hotelu w Barcelonie. Gdy pokazałam panu jego pismo był pan poprostu przerażony, niestety nie poszłam za jego radą, co mnie drogo kosztowało. Gdy przybyłam z moim mężem do Barcelony, okazało się, że mnie niecnie okłamał i nie był wogóle żadnym dyrektorem. Następnie mieszkaliśmy w bardzo ciężkich warunkach w Chemnitz aż do 13 października 1932. Prędko uporał się z moim posagiem, a następnie ulotnił się, nie pozostawiając żadnej o sobie wiadomości. Jak słyszałam, ożenił się ponownie w Las Palmas, chociaż ze mną nie był wcale rozwiedziony".

Na chwilę przerwała pisanie, tak bardzo była wstrząśnięta wspomnieniem swych przejść, gdy się jednak uspokoiła, dopisała jeszcze następujące słowa: „Jestem poprostu zrozpaczona, tak, że chętnie pozbawiłabym się życia. Skoro pan jednak jest zdania, że przetrzymam moją tragedję, nabrałam do życia zaufania i porzucam myśl o samobójstwie".

Na podstawie jej pisma mogłem naprawdę wyrazić moje przekonanie, że osoba ta nie zginie: mało widziałem ludzi, którzyby posiadali tyle siły moralnej i którzy po takich przejściach nie byliby się załamali. Ludzie tacy nie giną w życiu i postradawszy jedno oparcie, zarzucają kotwicę znów w innem miejscu, dążąc do szczęścia i słońca.

* * *

Podczas mego pobytu w Karlsbadzie odwiedził mnie pewien mężczyzna w średnim wieku i oświadczył, że wobec śmierci jego żony, która nastąpiła kilka lat temu, zamierza zaślubić jedną starszą pannę, uważając ją za wymarzoną towarzyszkę życia. Dodał, że kocha ona jego troje dzieci, jak rodzona matka, chciałby jednak usłyszeć moje zdanie, czy małżeństwo to będzie szczęśliwe.

Poproszony o próbkę pisma, skreślił następujące słowa: „Kobietę, którą zamierzam poślubić, znam od roku. Czy nadaje się ona na moją żonę?"

Otrzymawszy od niego również próbkę pisma osoby wchodzącej w grę, powiedziałem mojemu gościowi co następuje:

— Zachowywał się pan wobec swej wybranej zawsze jak niezwykle czuły zakochany i sam się pan dziwi, że się z nią jeszcze nie ożenił, temwięcej, że się oboje świetnie do siebie nadajecie. Zarówno dla pana, jak i dla pańskich dzieci byłoby wielkiem szczęściem, gdyby zgodziła się zostać pańską żoną. Pismo jej jednak wykazuje dobitnie, że będzie ona musiała przejść bardzo ciężką walkę, zanim zgodzi się na pańską propozycję. W pewnej chwili zerwie z panem zupełnie kontakt i oświadczy panu, że małżeństwo nie wchodzi tutaj zupełnie w grę. Gdy pan się ją zapyta o powody, nie da panu żadnej odpowiedzi, kryje w sobie bowiem pewną drobną tajemnicę, której nie będzie chciała panu wyjawić. Jestem jednak przekonany, że po pewnym czasie znowu się z panem spotka i gdy nadarzy się odpowiednia sposobność, gdy dzieci będą nieobecne, pana odwiedzi, zdejmie wobec niego buciki i pończochy i pokaże panu, że u lewej nogi posiada dwa zniekształcone palce. Do tego czasu ukrywać jednak będzie swoje małe kalectwo, gdyż nie jest pewna, czy pan się z nią ożeni, dowiedziawszy się o niem.

Mój klient był tak wyprowadzony z równowagi, że przez chwilę szukał za właściwemi słowami. Wkońcu rzekł:

— To, co pan mówi, rozegrało się właśnie kilka dni temu. Od roku byliśmy zaręczeni, aż w kilka tygodni po zaręczynach otrzymałem od niej kosza. Po mniej więcej 3/4 roku, tj. tydzień temu zjawiła się u mnie, oświadczając, że musi się przede mną wytłumaczyć ze swego postępowania i zdejmując bucik i pończochę pokazała mi swoje zniekształcone palce u lewej nogi. Dodała, że obawiała się swego czasu, abym nie zraził się tem kalectwem i dopiero teraz mogła się zdecydować na wyjawienie mi swego sekretu.

Podczas, gdy to mówił, rysowałem na kawałku papieru lewą nogę kandydatki na żonę z zniekształconymi palcami. Pod rysunkiem napisał mój klient:

(ciąg dalszy nastąpi).



FRAGMENT STAREGO KRAKOWA: PRAŁATÓWKA

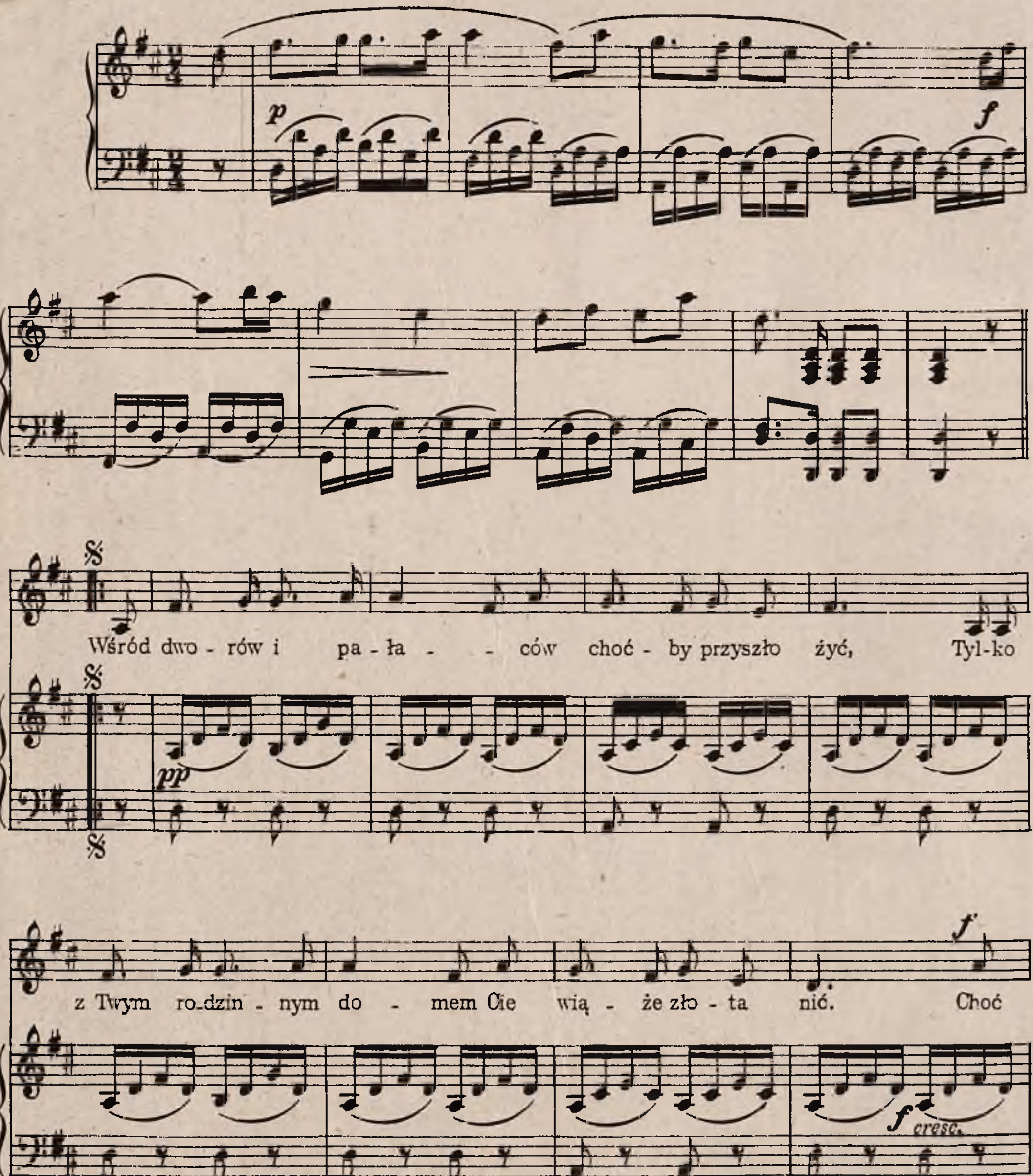
Fot. dr. Wacław Szperber.

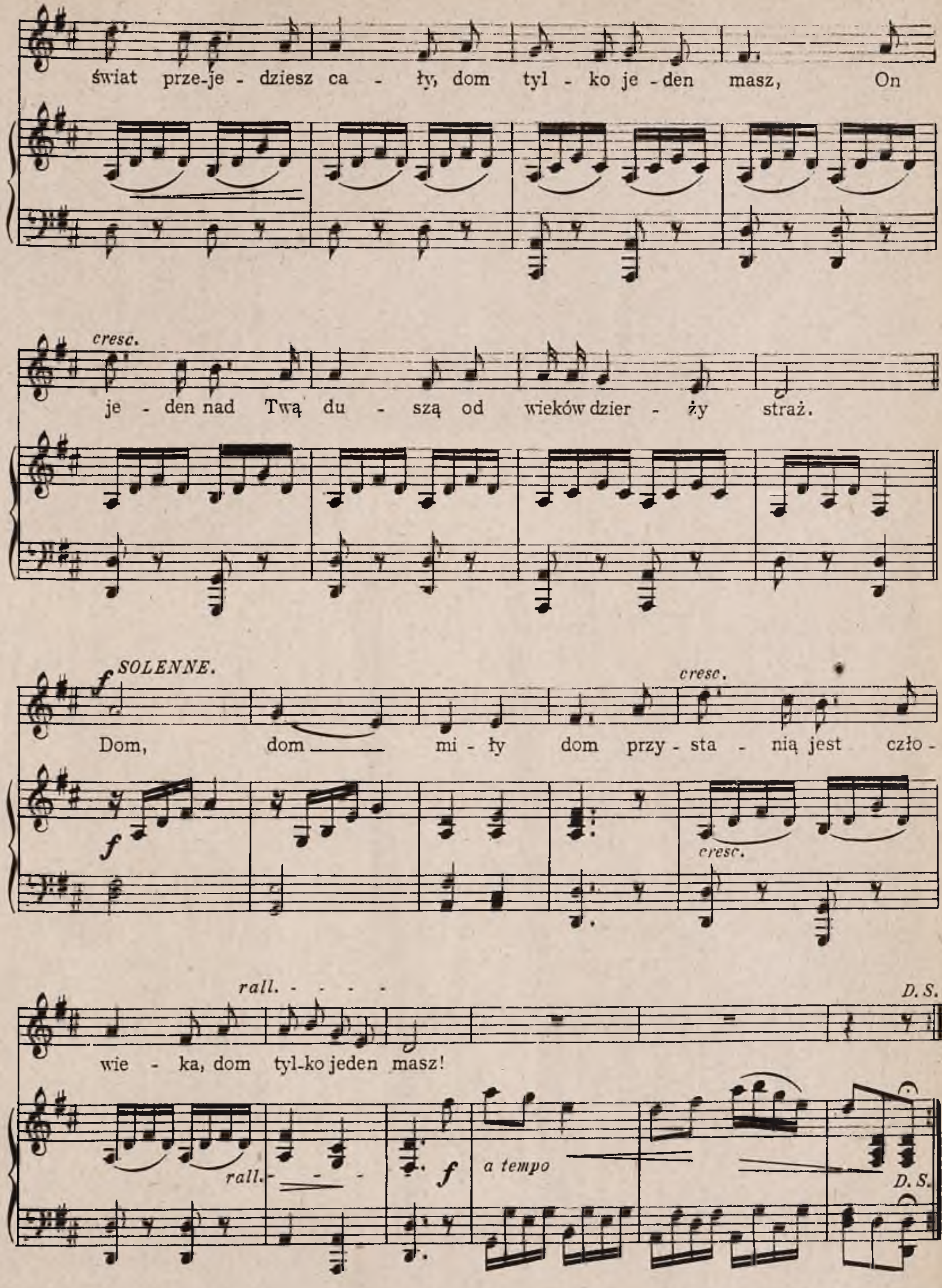
DOM, NASZ MIŁY DOM

(HOME, SWEET HOME)

★

PIEŚŃ ANGIELSKA Z XVIII WIEKU





„CAFÉ ARIZONA"

★

KAZIMIERZ ŁUKOCZ

NOWELA

Z „srebrnej sali" dolatywały głosy hałaśliwie bawiących się gości, którzy starali się zapewne zagłuszyć muzykę radjową. Od czasu do czasu dolatywał stuk kul bilardowych, puszczanych w ruch przez dwóch mistrzów szlachetnej gry pana Wicka i pana Normana. Byli to stali bywalcy „Arizony": bez nich nie miałaby tego charakteru jaki uczynił ją znaną w całej dzielnicy. Pan Wicek był znany w całej Europie: był obrotny, zarabiał nieźle, był szarmancki wobec dam, nie lubiał wylewać za kołnierz a opowiadał jak urodzony literat. Podobno miał kiedyś, kilka lat temu, duży majątek zarobiony na wyścigach, który pozwolił mu zwiedzić wszystkie stolice Europy a nawet wybrać się do Nowego Jorku. Oczywiście wnet skończyły się pieniądze i marnotrawny syn, nabywszy wiele doświadczeń, kupiwszy parę pierwszorzędnych garniturów, paczkę wspaniałych krawatów londyńskich i neseser ze skóry bawolej, londyńskiego również wyrobu, znalazł się znów na bruku Warszawy.

Ale sława jego była zrobiona: zawsze wytworny choć nieco już „spłowiały", zawsze umiejący odparować każde złośliwe ludzkie słowo zwrotem równie dowcipnym jak wielkoświatowym, pozostał pan Wicek dla kilkunastu ulic otaczających „Arizonę" wielkim człowiekiem, który miał w życiu swe wspaniałe chwile. Patrzano na niego jak na więźnia św. Heleny lub inną upadłą wielkość.

Innym rodzajem sławy cieszył się Norman. Był podobno Niemcem, choć mówił po polsku jak rodowity Polak a pozatem twierdzono, że jest baronem. On sam nie zwierzał się z swych spraw osobistych i nie przeczył ani nie potakiwał krążącym o nim pogłoskom. Faktem jednak było, że Norman przyjmował u siebie w swym numerze hotelowym bardzo wytworne towarzystwo przybywające zdaleka, świetnie ubrane, jeżdżące autami i wogóle nie mające nic wspólnego ani z „Arizoną" ani z okoliczną nędzą. Pytany o swój zawód Norman lekceważąco odpowiadał, że przeprowadza większe transakcje handlowe z zagranicą, zna cały świat, ma wszędzie przyjaciół a w Warszawie mieszka tylko dlatego, że przeżył w tem mieście kilka romantycznych przygód, których wspomnienie na zawsze utkwiło w jego pamięci.

Zresztą niewiele było potrzeba mieszkańcom hotelu „Arizona" aby zaspokoić ich ciekawość: wychodzili z bardzo słusznego założenia, że każdy człowiek ma prawo do życia, każdy ma jakieś sprawki mniej lub więcej niemiłe, o których chciałby zamilczeć lub zapomnieć, a cała sztuka życia polega na tem, aby sobie wzajemnie nie utrudniać egzystencji. A pozatem łączyła ich wspólna solidarność wobec tak zw. praworządnego, zorganizowanego w księgach sądowych i księgach adresowych świata, który ciągle we wszystko chciał wglądać, przysyłał swych szpicli, komisarzy, wywiadowców i o wszystko pytał. Te wtrącanie się „sfer miarodajnych" w postaci komisarza policji, urzędnika od podatków i kilku innych, uważali „arizończycy" za nahalność, i odnosili się do nich z niekłamaną niechęcią.

Podczas gdy w pierwszym pokoju a raczej sali jak go szumnie nazywał gospodarz — Alfred Tombaliński, z zawodu akrobata cyrkowy, w wolnych chwilach od zajęć hotelowych dekadencki poeta a pozatem mąż energicznej pani Wilfrydy, byłej woltyżerki berlińskiego cyrku, — kilku stałych gości zabawiało się gawędą i bilardem lub słuchaniem koncertu popołudniowego w radjo, sala pierwsza stroiła się na wieczór. Stałe, od miesięcy niezmieniane girlandy zrobione z sztucznych kwiatów, lampionów i różnych świecidełek, liczne chorągiewki reprezentujące wszystkie kraje świata, z często powtarzającą się chorągiewką angielską, tworzyły typowy nastrój dla trzeciorzędnego hoteliku stolicy, który harmonizował idealnie z samą nazwą hotelu i kawiarni. Nazwę „Arizona" wymyśliła ściśle biorąc pani Wilfryda: łączyła się ona z wspomnieniem o pewnym Amerykaninie, który przez kilka lat był jej przyjacielem, w czasach kiedy była piękna i młoda a po dzień dzisiejszy zachowała dla niej jakąś oryginalność, powab i dźwięczność, jakiej nie znalazły w żadnem innem słowie. Choć dokładnie nie wiedziała gdzie leży Arizona, pani Wilfryda wyczuwała w tej nazwie dźwięk złota, przypominało jej ono wielki świat, wesołe życie, młodość, zapał do życia i wiele innych dobrych rzeczy. Gdy więc po długich niepowodzeniach wylądowała z mężem, zaślubionym według wszelkich przepisów w kościele i w urzędzie stanu cywilnego, w Warszawie i mogła za pożyczone pieniądze kupić bankrutujący hotelik, pierwsza jej myśl była aby swej nowej siedzibie nadać imię „Arizona". I tak też pozostało. Sugestja, której ulegała przez wiele lat pani Wilfryda przeszła też na gości hotelu i niejeden z nich z pewną dumą mówił, że w tym właśnie hoteliku odnajmuje pokój.

Przygodna śpiewaczka, która zredukowana w jednym z dancingów, mieszkała od dłuższego czasu w hotelu zapominając konsekwentnie płacić za pokój na pierwszego, miała tegoż wieczoru wystąpić w głównej sali. Swym śpiewem, który jak twierdziła, miał wielu zwolenników wśród sfer artystycznych stolicy, miała płacić za pokój i utrzymanie. Chociaż Tombaliński nie bardzo wierzył w jej zdolności, to jednak uważał, że będzie to bezwzględnie niebywałą atrakcją, gdyż na przedmieściu nie miał w tym kierunku żadnej konkurencji. Gdy się jeszcze doda, że śpiewaczka, piękna brunetka Dora Dorné, o wyglądzie zdetronizowanej królowej, była również fordanserką, lokal „Arizony" mógł naprawdę liczyć na powodzenie. I rzeczywiście w tej Dorze Dorné było coś wielkopańskiego: zgadzali się na to wszyscy, którzy ją znali, a sam Tombaliński mówiąc o niej, niedopowiadał czasem zdania, by wzbudzić w swych gościach tem większe zainteresowanie. Gdyby nie wiedział, że w wykazie osobistym Dorné zapisana była jako „Dorota Durna" byłby może sam uwierzył w jej francuskie pochodzenie i romantyczną przeszłość.

Dorota należała do tych istot, których historja zaczyna się od wielkiego rozczarowania, przechodzi przez krótki okres szaleństw, zapomnienia, zabaw, miłości, by znów dojść do punktu, z którego wyszła. Pochodziła podobno z „porządnej" rodziny, i jako dorastająca dziewczyna chodziła do jakiejś szkoły ucząc się nawet łaciny i literatury. Przyszła jednak chwila kiedy małe miasteczko, w którem wzrosła, stało się dla niej za ciasne, zbyt nudne i wtedy porzuciwszy rodzinę uciekła w daleką, niepewną dal. Ucieczka odbyła się koleją, za kilka pożyczonych od syna miejscowego aptekarza złotych, a gdy wylądowała wkońcu w dużem mieście powtórzyło się to, co zawsze zdarza się w powieściach: musiała się uczepić łaski i opieki pierwszego lepszego napotkanego człowieka i brnąć dalej w roli lekkomyślnej, szukającej przygód dziewczyny, która „chciała poznać życie".

Przez jeden z niezliczonych przypadków jakie rządzą życiem ludzkiem Dorota Dorné dostała się do „Arizony". Hotel poznała będąc przez pewien czas przyjaciółką pewnego zredukowanego urzędnika, który wyczerpawszy swe fundusze mieszkał w hoteliku. Urzędnik był naprawdę jedyną miłością Doroty: uważała go za człowieka bardzo mądrego, szlachetnego i prawdziwego opiekuna. Niestety najlepszy nawet opiekun porzuca swej pieczy oddaną przez los dziewczynę, gdy dostanie w innem mieście posadę. Uczynił to też przyjaciel Doroty, i pewnego razu odpowiedziano jej, że wyjechał dwa dni temu w niewiadomym kierunku, pozostawiając dla niej list.

Od tego czasu „Arizona" stała się dla Doroty Dorné miejscem, do którego powracała jak zbrodniarz na miejsce czynu, chcąc odświeżyć swe biedne, jedyne w jej życiu miłe wspomnienia. Ponury, brudny hotelik stał się dla niej królestwem z bajki: przeżycia jej stawały się w miarę ich czasowego oddalania coraz bardziej ciekawe, nadzwyczajne, każde słowo ukochanego nabierało specjalnego znaczenia a jego postać poczęła przypominać mitycznych bohaterów.

Naiwna dziewczyna doszła wkońcu do przekonania, że najlepiejby było, gdyby hotelu „Arizona" wogóle już nie opuściła. Tegoż samego zdania, choć z nieco innego punktu widzenia był Tombaliński. Z swych młodych lat wyniósł on pewną znajomość duszy a co więcej urody kobiecej, i wiedział, że Dora, odpowiednio ubrana, umalowana i uczesana może być pierwszorzędną atrakcją dla jego lokalu. Po wstępnych rozmowach zaproponował jej posadę fordanserki, którą ona z radością przyjęła.

Wkrótce w okolicy gruchnęła między kumoszkami wiadomość, że w „Arizonie" została zaangażowana znana tancerka francuska, Dora Dorné, która odnosiła sukcesy w Paryżu i Londynie, chwilowo jednak zatrzymała się w Warszawie chcąc doprowadzić do końca sprawy spadkowe po pewnym bogatym przyjacielu, który właśnie co umarł. Tem większe zainteresowanie budziła oczywiście u „złotej młodzieży" okolicy. „Arizona" stała się wkrótce rendez-vous eleganckiego świata Czerniakowa.

Tombaliński spoglądał okiem znawcy na przygotowania, które salę „Arizony" miały uczynić na ten wieczór jeszcze bardziej wspaniałą niż była zazwyczaj. Małe podjum dla orkiestry, „boksy" na dwie do trzech osób, zasłonięte ciężką kotarą z czerwonego pluszu, dodatkowe lampiony, trochę kwiatów w wazonikach na stołach, wszystko to razem i każdy szczegół zosobna dodawały sali wyglądu uroczystego i upodobniały ją do sal trzeciorzędnych hoteli, jakie istnieją na całym świecie, pod każdą szerokością geograficzną.

Dora Dorné była bardzo zdenerwowana tego dnia, gdyż od sukcesu zależały jej plany na przyszłość. Po wielu przejściach, które w pamięci Dory nie tworzyły osobnych faktów lecz zlewały się w jedną, bezkształtną szarą masę, Dora doszła do tego stanu obojętności wobec życia, podobnie jak biedne, tropione zwierzę szukające w lesie schronienia przed napadającymi je myśliwymi, i ona szukała przytułku w „Arizonie". Nie wiedziała co będzie jutro, wiedziała tylko, że dziś jest strasznie, ponure, i że wszystkie moce sprzysięgły się przeciwko niej. Pomimo iż miała lat dwadzieścia kilka i od lat trzech tułała się po świecie, nie doszła jeszcze do jasnej orjentacji, czem właściwie jest życie. Pojęcia jej w tym kierunku były amalgamatem praktycznego cynizmu i naiwnej, sielankowej marzycielskości. Wiedziała z doświadczenia jak naciągać mężczyzn na pieniądze, jak wykłamywać się przed czynionymi sobie zarzutami, jak okłamywać i mylić ślady, ale z drugiej strony, pomimo wszystko, szukała podświadomie moralnego oparcia, i pomocy uczciwego człowieka.

Siedziała przy małym stoliku niedaleko wejścia sali i z uwagą różowała sobie usta. Stwierdziła, że jest ładna i na chwilę opanował ją nastrój optymistyczny, zaraz jednak przypomniała sobie, że właśnie uroda jej jest powodem ucieczki z domu i następnych życiowych doświadczeń.

Tombaliński, ubrany w elegancki, choć

nieco podniszczony na rękawach smoking, zbliżył się do niej z znaczącym uśmiechem.

— Ładnie pani wygląda! Jak ta lala! — podkręcił małego wąsa i usiadł koło niej. Zdaje się, że będziemy z pani kontenci, o ile pani debjut wypadnie dobrze. Zamiast słowa debjut chciał użyć słowa „wernisaż“ ale zatrzymał się, gdyż nie był zupełnie pewny, czy użyje go stosownie, a będąc pedantem jeśli chodziło o pozory i o sposób wyrażania się, użył ostatecznie słowa „debjut“. Pani się podoba! No nic dziwnego, jest pani ładna, inteligentna, obyta w świecie. Pani to coś lepszego. Co tam będę długo mówił: lubię panią, bo pani to dziewczyna z wiary!

Palnął się dość hałaśliwie po kolanie a drugą rękę wyciągnął w jej kierunku. Drobna jej ręka znalazła się w jego dużej łapie, na której błyszczały dwa pierścionki, jeden z szafirem a drugi z szmaragdem — oba fałszywe. Ręka jego była muskularna, a „zdobiły“ ją ciemne włosy i żółte, drobne plamy.

— No tak, gości będzie dziś dużo. Tylko dam pani dobrą radę: niech pani trochę kokietuje ludzi. Mężczyźni to lubią i lecą na lep jak muchy.

Dora nie śmiała wyrwać swej ręki z uścisku Tombalińskiego: czuła się tak wobec niego mała, słaba, nieporadna. Ten wysoki, atletycznie nieomal zbudowany człowiek był w jej oczach uosobieniem życia, srogiego, realnego, nieubłaganego.

— Zauważyła pani tego faceta, co to był w ostatnią niedzielę? Taki blondyn, w szarym ubraniu, miał kwiatek w butonierce?

— Tak, siedziałam z nim w loży! — odparła odrywając oczy od lusterka i patrząc na Tombalińskiego jakby oczekując wyroku.

— Właśnie, właśnie, ten co siedział z panią w loży. Nie wiem kto to jest, ale to fajn chłop, forsy jak lodu, złoty zegarek, angielskie ubranie, buty od Hiszpańskiego!

— Skąd pan to wie? — zdziwiła się.

— Nie próżno było się w świecie! Widziało się różne rzeczy i różnych ludzi. Jak spojrzę — mur! Otaksuję zaraz każdego, grosze mu policzę w pularesie! Widzi pani, tego chłopca trzebaby trochę przyciągnąć. Wie pani jak się to robi, ładna kobieta zawsze wie. Niech popije, zafunduje coś, i mnie będzie lepiej i pani.

— Rozumiem! — odparła cicho.

Tombaliński wstał zadowolony. Bał się trochę czy Dora zaakceptuje rolę jaką jej proponował, bo miał o niej swoje zdanie i mimo wszystko nie wyczuwał w tej dziewczynie zdolności, jakich potrzeba było w „Arizonie“. Liczył tylko na jej urodę, na jej śpiew i na tę pewną oryginalność i „dystynkcję“ jak to określał, które odróżniały Dorę od jej koleżanek-fordanserek.

Poklepał ją po ręku.

— Więc grzecznie, uprzejmie, „perskie oko“, uśmieszek i będzie miała pani powodzenie, jakem Tombaliński. A potem rozliczymy się...

— Freddi, Freddi! — krzyczała z drugiego pokoju małżonka właściciela „Arizony“, chodź pomóż tu ułożyć kwiaty!

— Przepraszam! — rzekł szarmancko Tombaliński i wyszedł do drugiej salki.

Za godzinę orkiestra, złożona z trzech muzykantów, poczęła swoje popisy. Publiczności ciągle przybywało: chwalono urządzenie, popijano suto wiśniówki i koniaki i atmosfera stawała się coraz swobodniejsza. Występ śpiewaczki zapowiedziany był na dziewiątą wieczór. Wkońcu na małej estradzie zjawiła się Dora Dorné, powitana przez obecnych żywemi oklaskami. Sala pełna była dymu i gwaru, który wprawdzie trochę ustał podczas popisów wokalnych Dory, ale większość publiczności była już w tym nastroju, w którym mniej się zważa na to, co się dzieje na estradzie, jak na najbliższe otoczenie, gdyż wzrok nie sięga zbyt daleko, a zdolność rozumowania coraz bardziej maleje. Tem rzęsistsze były też oczywiście brawa, że nie zdołano zauważyć walorów wokalnych śpiewaczki, którą nazywały programy, rozrzucone po stolikach, „słowikiem Paryża“.

Z lóż dochodziły coraz to głośniejsze wybuchy wesołości, którym towarzyszyło brzęczenie szkła i stukanie widelcami o talerz, mające zwabić do stolika jak zwykle nieuchwytnego kelnera. W pewnej chwili wysoki, szczupły młody człowiek, o dość smutnym wyglądzie twarzy, zjawił się na sali. Wszedłszy obrzucił salę nonszalanckiem i obojętnem spojrzeniem, jakby chcąc się przekonać, czy warto tu zostać i skierował się do jednej z lóż. Tombaliński poznał go odrazu: był to ów elegancki gość, o którym wspominał Dorze Dorné.

Podbiegł do niego i ukłonił się z kawiarnianym wdziękiem.

— Co szanowny pan rozkaże? Może coś z przekąsek? Mamy świetne sałatki, rybę w galarecie, a może do tego koniaczek? Właśnie przyszedł Martell, prosto z Paryża! My zawsze z pierwszej ręki...

Młody człowiek przerwał jego potok słów:

— Niech będzie Martell i czerwone wino, francuskie. Może jest dobry château Laffite? Jakąś sałatkę i sardynki!

Tombaliński popatrzył badawczo na gościa, gdy ten rozsiadł się w loży: poco on tu przychodzi? — pomyślał. Jest za wytworny na to, aby właśnie w „Arizonie“ szukać rozrywki. Co go tu sprowadza? Aha, wiem! — błysnęło w mózgu Tombalińskiego, gdy szedł do bufetu. To rodzaj desperata, który lubi rozpamiętywać swoje przykrości w kawiarnianym gwarze, zdala od znajomych osób, w zgoła odmiennem otoczeniu. W pewnych chwilach jasnowidzenia, Tombaliński zaliczał „Arizonę“ do „trzeciorzędnych garkuchni“, chociaż oficjalnie twierdził, że jest wytwornym lokalem, to też nie mógł uzgodnić wyglądu gościa i jego manier z otoczeniem, jakie sobie wybrał. Tacy najczęściej miewają pieniądze! — zakończył swe rozmyślania. I płacą świetnie!

Młody człowiek odsunął kotarę i począł przyglądać się tańczącym parom. Po chwili tańce ustąpiły miejsca występowi śpiewaczki. Muzyka poczęła grać jakąś smętną piosenkę rosyjską i dał się słyszeć śpiew. Słowa piosenki były stereotypowe, muzyka w „klasycznym“ typie rosyjskich i cygańskich melodyj. Porzucona przez księcia dziewczyna błąka się po stepach i opłakuje swą miłość... Publiczność, skora do wzruszeń, słuchała w skupieniu. Niektóre pary patrzały sobie z bezgranicznem oddaniem w oczy, przysięgając sobie „wieczną“ miłość.

Kelner przyniósł zamówione potrawy i trunki.

— Proszę poprosić pannę Dorę do mnie — rzekł do kelnera — jak skończy śpiewać — dodał. Gruby człowiek w wyświechtanym fraku, uśmiechnął się porozumiewawczo.

Po chwili zjawiła się Dora.

— Pan mnie prosił? — zapytała.

— Tak, prosiłem panią, ale niech mi pani tego nie ma za złe. Czuję się bardzo dobrze w towarzystwie pani... — ucałował jej rękę i posunął się na kanapce, robiąc jej miejsce. Nie chcę aby pani myślała, że traktuję ją jak zwykłą fordanserkę, którą się sprowadza do stolika, lecz jak starą znajomą!

— Przecież dopiero przed tygodniem poznaliśmy się! — odparła Dora, uśmiechając się życzliwie do młodego człowieka.

Popatrzył na nią poważnie, jakby tu chodziło o zagadnienie życia i śmierci.

— Tak, dopiero tydzień temu, a jednak uważam panią za bliską... Wyczuwam, że panią to środowisko mierzi. Czy tak? Gdy się samemu przeszło przez różne życiowe przykrości, wyczuwa się też kłopoty i zmartwienia drugich...

Nalał jej czerwonego wina i trącił się ze śpiewaczką kieliszkiem.

— Za nasze zdrowie, oby nam było lepiej na świecie! — rzekł ze śmiesznym patosem.

Patrzyła na swego towarzysza nieco zdziwiona, ale też ubawiona. Dziwny typ! Kocha się, czy co? A może jest w lokalu w typie „Arizony“ po raz pierwszy i nie bardzo wie, jak się zachować? Chyba nie!

Jak to bywa w takich wypadkach, poczuła do niego szczerą sympatję, gdyż to, co mówił i jak mówił, stanowiło dla niej nowość i posiadało urok rzeczy niespodziewanej.

— Zdarzają się chwile, kiedy cały świat wali się człowiekowi na głowę. Kiedy się traci orjentację, poczucie czasu, rzeczywistości. Zna pani takie chwile? — mówił młody człowiek z przekonaniem, akcentując dobrze słowa.

— Owszem, znam takie chwile i przeżywałam je bardzo ciężko... — odparła smutnie.

— A wie pani, gdy wszystko zawiedzie, gdy zdradzi przyjaciel, kochanka, gdy człowiek się przekonał, że okłamano go, wyśmiano i że jest głupi, jak stołowe nogi, wtedy pozostaje jedyna rzecz: mieć przekonanie, że mimo wszystko, jest się porządnym człowiekiem, a że oni są podli i oni powinni się wstydzić.

Roześmiała się: tragiczny wyraz twarzy jej przygodnego znajomego i jego słowa stawały się na tle tego lokalu jakimś anachronizmem, jakiemś nieporozumieniem. Zresztą Dora, jak wiele kobiet, nie umiała wytrzymać długo w jednym nastroju.

— Jaki pan ponury! Ale niech się pan nie przejmuje! Przeżyłam rzeczy gorsze i jakoś żyję!

— Ale teraz ja panią zmartwię, panno Doro — odparł już wesoło — gdy pani powiem, że jej nosek się świeci, jak latarnia morska!

— O Boże! — krzyknęła z przesadą Dora. — I dopiero teraz mi pan to mówi? Pójdę po puder, bo zapomniałam torebki w moim pokoju! — wstała i pobiegła ku drzwiom sali.

Nieznajomy wyjął z wspaniałej złotej papierośnicy z rubinami wykładanym herbem papierosa i zapalił go. Cała ta czynność zdawała się być tylko pretekstem, aby mógł się nad czemś lepiej zastanowić. Gdy wkońcu schował papierośnicę do kieszeni, zdawało się, że powziął jakąć decyzję.

— Kelner, butelkę wina czerwonego! — zawołał na salę.

Dora długo nie wracała. Naraz ujrzał ją nieznajomy przy drzwiach. Szła wolno, jakby nie wiedziała, dokąd idzie i jakby jakieś przeszkody znajdowały się na drodze.

Przyjrzał się jej bacznie.

— Pani płakała? — zapytał. Twarz Dory była blada od pudru, pod którym przeświecały co dopiero wytarte ślady łez.

— Głupstwo — odparła zdławionym głosem i sięgnęła po chusteczkę. W ręku jej zaszeleścił papier.

Wyciągnął rękę i wyrwał jej list. Ona oparła się o ścianę i zamknęła oczy.

„Daruj mi, droga Doro, jestem nieszczęśliwy i nie wiem, gdzie mam szukać ratunku. Byłem lekkomyślny, zdawało mi się, że wszystko pójdzie jak z płatka, a teraz tylko kilka dni dzieli mnie od samobójstwa. Nie mam wyjścia! Wziąłem z kasy tysiąc złotych, by przeprowadzić pewną świetną transakcję i oddać potem pieniądze. Pieniądze przepadły i nie mam z czego oddać. Jeżeli ty mnie nie uratujesz, nie mam już co robić na tym świecie“ — czytał nieznajomy.

Popatrzył na Dorę i położył list na stole.

— Kochała go pani? — zapytał.

— Tak — cicho odparła.

— I co teraz będzie?

— Nie wiem!

Poklepał jej rękę, jakby to czynił z małem dzieckiem.

— Znajdzie się rada! — Wziął jej kieliszek i znowu nalał wina.

Siedzieli dłuższą chwilę w milczeniu. Sala coraz bardziej napełniała się dymem i

Dokończenie na str. 31-ej.

PRZED OSTATNIEM OKRĄŻENIEM...
Fot. Schostal



NASZ KONKURS na najpiękniej zastawiony stół wielkanocny!



1

1. Święcone z Nowego Sącza p. H. K.



2

2. Stół wielkanocny p. Jadwigi Maciejewskiej z Jaktorowa pod Warszawą.



3

3. Święcone p. Antoniny Nowakowej z Żywca.



4

4. Stół wielkanocny p. G. Hawranek z Drohobycza.

Wielkanoc tegoroczną święciliśmy w Polsce wśród niezwykłych okoliczności, wiosna bowiem r. 1939 niesie tyle niespodzianek na terenie polityki międzynarodowej, tyle zgrzytów i niepokojów, że poryw wydarzeń ociera się już niemal bezpośrednio o każdego z nas. Wymaga to silnych nerwów i wielkiego opanowania się. Wymaga to przeciwstawienia się psychozie, która ma otwarte pole działania.

Wiemy dobrze sami i cały świat daje temu świadectwo, że sprostaliśmy wymogom chwili. Sprostaliśmy w życiu publicznem i prywatnem, a w tem ostatniem dzierży berło kobieta, która w obliczu wielkich wydarzeń, tak, jak i w codziennem bytowaniu, skupia życie rodzinne, niby soczewka promienie słońca. Umiała je skupić również wokół tradycyjnego święconego, przy wielkanocnym stole, — skromniej niż w innych latach urządzonym, lecz w tym samym serdecznym nastroju.

Dowodem tego są fotografje, jakie nadchodzić zaczęły do naszej Redakcji w związku z ogłoszonym konkursem na najpiękniej zastawiony stół wielkanocny. Pierwszą ich serję zamieszczamy obok.

WOCZESNA ★ KOSMETYKA



Znana artystka filmowa Frances Mercer podczas porannnych zabiegów kosmetycznych.

Czy cera nam jaśnieje zdrowiem i młodością?

Jeżeli nie mamy dobrze wyćwiczonego oka w wykrywaniu niedomagań naszego wyglądu, to z defektów, jakim musi od czasu do czasu ulegać skóra twarzy, nie prędko zdamy sobie sprawę, jakkolwiek zauważą to wcześniej oczy naszych przyjaciółek i przyjaciół, którzy niekoniecznie chętnie zwróciliby nam na to uwagę.

Są jednak symptomy, po których nieomylnie zorjentujemy się w sytuacji, nawet jeżeli lustro nie wyjawi nam dość wcześnie swej prawdy. Oto puder nie chce się trzymać i opada lub gromadzi się niepotrzebnie w jednem miejscu. Także i krem, zazwyczaj używany, nie odżywia należycie skóry, nie wnika w nią dokładnie, a odcień cery staje się o kilka nuansów ciemniejszy.

Kiedy zauważymy takie objawy, będzie to już najwyższy czas, „ostatnie dzwonienie", aby przystąpić do generalnego odczyszczenia skóry, której codzienne zabiegi już nie wystarczają. Zagranicą przeprowadza się takie „desincrustation" (coby można przetłumaczyć „odtynkowanie") raz na 6—8 tygodni. Taka „desincrustation" polega na działaniu rozmaitych kremów, odczyszczających przy pomocy masażu elektrycznego. wykonywanego w bardzo precyzyjny a skomplikowany sposób, przyczem masaż ten odczuwa się jako gładzenie, to jako klepanie, to jako rozcieranie itd.

Przy tych zabiegach kremy wnikają głęboko w rozszerzone pory skóry i odczyszczają ją bardzo intensywnie. Po trzech kwadransach takich zabiegów cera rozjaśnia się bardzo wyraźnie, do tego stopnia, że można używać do niej pudru o kilka tonów jaśniejszego, niż zwyczajnie.

W Hollywood stosuje się powszechnie maseczki piękności, które mają podobne działanie dokładnego oczyszczania skóry. — Zasada, iż piękną cerę trzeba konserwować, a nie ratować jej wygląd w ostatniej już chwili, jest w całej Ameryce powszechna i stąd kobiety szczycą się tam cerą istotnie olśniewającą i jasną. Nie czekajmy i my na groźne oznaki ciemnienia naszej karnacji. lecz stosujmy środki zapobiegawcze, choćby nic jeszcze nie zwiastowało jakiegokolwiek pogorszenia.

Raz na jakiś czas, a teraz z wiosną w szczególności, zastosujmy generalne oczyszczenie skóry twarzy. Domowym sposobem można to zrobić przy pomocy maseczki z żółtka, które rozsmarowujemy na twarzy i pozostawiamy do wyschnięcia, poczem zmywamy letnią miękką wodą. Można też przy pomocy bardzo delikatnej miękkiej szczoteczki namydlić doskonale twarz dobrem mydłem. Mydło musi się przytem pienić bardzo intensywnie. Po zmyciu mydlin ciepłą wodą, zakładamy zimny kompres na twarz. Dobrze jest przytem dodać do wody kilka kropel kamfory, która działa wybitnie ściągająco na rozszerzone od ciepłej wody i mydła pory skóry.

Takie generalne mycie powtarzamy co trzy tygodnie. Przy myciu twarzy szczoteczką, omijamy zdaleka oprawę oczu, przyczem dobrze jest natłuścić silnie powieki w czasie całego zabiegu, aby nie wysuszać delikatnego naskórka powiek i oprawy oczu.



Przed namydleniem twarzy natłuszczamy powieki.



Namydlanie twarzy odbywa się przy pomocy delikatnej szczoteczki.

Nie zapominajmy wszakże, że jasna cera jest wskaźnikiem zdrowia i należytego funkcjonowania wszystkich organów wewnętrznych. Jeżeli zatem nie pomagają zabiegi domowe, o jakich tu mówimy, trzeba udać się do lekarza, aby zbadał głębsze przyczyny niedomagań skóry.

Przy zmianie obecnej pory roku można też zastosować odżywczą dla całego ustroju dietę owocowo-jarzynową, przez jeden dzień wstrzymując się od potraw mięsnych i mącznych.

Nie będziemy tutaj obiecywać żadnych cudownych skutków, ale pewnem jest, iż zwrócenie uwagi na te sprawy może po pewnym czasie sprowadzić nader zbawienne skutki i same panie zdziwią się, jak pojaśnieje ich cera na powitanie wiosennego słońca.

Elwira.

W JAKIM PŁASZCZU PRZYWITAMY *wiosnę?*



Powyżej: Jasna narzuta trzy-ćwierciowa w delikatną kratę nadaje się do ciemniejszych sukienek przedpołudniowych.
Fot. Anders Paryż.

Po pierwszym wybuchu wiosennego entuzjazmu, kwiecień nie skąpił nam chłodnych i wietrznych dni, a musimy się przygotować, że i „zimni święci" dadzą nam swoją coroczną nauczkę. Dlatego obok wiosennych kostjumików i jasnych kolorowych kompletów, przeznaczonych na ciepłe, słoneczne dnie maja, pamiętajmy o niezbędnym i ważnym rekwizycie naszej garderoby, jakim jest płaszcz.

Płaszcz w liczbie pojedynczej, to właściwie „pars pro toto". Jeden płaszcz nie wystarczy, nie wymyślono bowiem dotąd tak uniwersalnego modelu, który nadawałby się zarówno na weekend czy do podróży autem, do miasta na poranny spacer czy sprawunki, na popołudniu do wizytowej tualety i — na wieczór do strojnej długiej sukni.

W naszym, raczej chłodnym, a przedewszystkiem zmiennym klimacie, bodaj najważniejszy jest praktyczny, ciepły a lekki płaszcz sportowy. Z miękkiego tweedu czy t. zw. flauszu, z sierści wielbłądziej czy z samodziału, robimy go w tym roku szerokim i luźnym, o poszerzonej linji ramion, od których opada szczególnie z tyłu w szerokich fałdach czy kloszach. Najmodniejsze są płaszcze jasne, zupełnie jasne: beige, biscuit, bananowe czy piaskowe, a obok nich niezmiernie urozmaicone i wesołe w kolorach płaszcze w dużą, śmiałą kratę. — Gdy płaszcz jest z materjału gładkiego, można podbić go (na stałe lub do przypinania) podszewką z miękkiej wełny w szkocką kratę. Gdy wybraliśmy materjał kraciasty, podszewka będzie przeciwnie — jednobarwna. Takie okrycie przyda się nam nie tylko z początkiem wiosny i w jesieni, lecz i w chłodniejsze dnie lata, do podróży, na wycieczkę, do auta.

Bardziej miejski charakter mają już, niemniej w tym roku modne płaszcze o kroju klasycznej „redingote"; a więc wcięte w pasie, górą przylegające do figury, dołem rozszerzone w silny klosz, zapięte na jeden lub dwa rzędy guzików, kieszenie przecięte lub z nakładanemi męskiemi klapkami, renwersy szerokie a raczej krótkie, kołnierzyk często z aksamitu lub zamszu. I na takie „redingotes" używamy chętnie wełny wzorzystej, szczególnie grubszej pepity lub wzoru szachownicy.

A teraz, kiedy skończyliśmy z klasycznym repertuarem, możemy przyjrzeć się lekkim i kapryśnym fantazjom mody na temat płaszczy popołudniowych. Takie są w tym roku rozmaite, lekkie, kolorowe i powiewne, że wyglądają jak suknie, graniczące zresztą blisko z faworyzowanemi przez tegoroczną modę sukniami płaszczowemi „robes-manteaux". Do ciemnych popołudniowych sukien nosimy okrycia w barwach jasnych, wesołych, pastelowych: a więc różowe do sukni czarnej, turkusowe do brązowej, cyklamen do granatowej, słomkowo-żółte do popielatej, jasno-błękitne do ciemno-czerwonej „rouge bourgogne". Do klasycznej wizytowej sukni czarnej możemy poprzestać i na czarnem okryciu, ale wtedy wyrazimy nasze zamiłowanie do kolorów w doborze podszewki z jedwabiu „bleu-pervenche" lub cyklamen, dostosowując do niej figlarny kapelusik z kwiatów w tym kolorze, ewentualnie bodaj wualkę przy kapeluszu czarnym i rękawiczki.

Ładny efekt dają również płaszczyki imprimés do sukien jednobarwnych, jaśniejsze do ciemniejszych. Kombinacja odwrotna np. suknia imprimée na tle granatowem i granatowe okrycie już się nieco opatrzyło i nie należy do najświeższych pomysłów .Dlatego, jeśli chcemy barwną suknię z wzorzystego jedwabiu lub tiulu stonować ciemniejszem okryciem, to robimy je z żorżety, „mousseline de soie" lub — tiulu, co wygląda niezmiernie elegancko i subtelnie. Np. suknie z czarnego tiulu w różowe grochy i czarny tiulowy płaszczyk, albo barwna suknia z crêpe de chine imprimé i okrycie z granatowego tiulu i t. p.

Popołudniowy płaszcz, który nie jest po-



Od lewej: Klasyczna „redingote" z wełny w drobną kratkę, z ciemniejszym kołnierzem i wyłogami. — Do sukni w skośne pasy nosimy okrycie z wełny jednobarwnej. — Oto praktyczny płaszcz z jasnej wełny, ozdobiony drobnemi szczypankami.



Powyżej: Najnowszy typ wełnianej sukni sportowej, a obok (na prawo) kostjum sportowy dwuczęściowy: ciemny luźny żakiet i jasna spódniczka.



Na prawo: Na chłodniejsze dnie bardzo odpowiedni jest elegancki popołudniowy płaszcz z lekkiej wełny, przybrany pięknem „letniem" futrem np. farbowanemi gronostajami.

Rysunki: Ewa Leo.

Poniżej: Fantazyjny płaszcz popołudniowy z wełny kombinowany w dwóch kolorach.





Powyżej: Płaszcz sportowy o silnie poszerzonej od ramion linji, z wykładanym kołnierzem i nakładanemi kieszeniami.

myślany specjalnie do jakiejś sukni i nie ma jej pokazywać, może być z lekkiej wełny lub jedwabiu w dwóch kolorach, np. popielatym i granatowym, czarnym i białym, żółtawym i brązowym etc. Czasem w kolorze jaśniejszym jest góra płaszcza, czasem cały przód, lub tylko długie i szerokie fantazyjne renwersy.

Fasony tych fantazyjnych popołudniowych płaszczy przypominają krój sukien, dla których są przeznaczone: są krótkie, od stanu szerokie, kloszowe, fałdowane, marszczone, czasem nawet plisowane. Niekiedy cała szerokość zebrana jest z tyłu, lub właśnie z przodu w silnie przymarszczony jakby fartuszek. Staniczek zato opina gładko ramiona i biust, czasami — dla kobiet bardzo szczupłych, poszerzając jego linję przymarszczeniami. Panie bardziej korpulentne, o wydatnych biodrach, niech raczej zrezygnują ze zbyt obfitych kloszów czy przymarszczeń i zadowolą się poszerzeniem płaszcza przy pomocy krytych fałdów lub wstawianych godetów. To samo doradzam w materji długości sukien i płaszczy. Owszem, to prawda, że w Paryżu nosi się je bardzo krótkie, ledwo przysłaniające kolana, a ukazujące je nieuchronnie przy chodzeniu czy siadaniu. Długość ich skraca się do 45 cm. od ziemi. Ale nie wszystko co się nosi nad Sekwaną, musi obowiązywać i u nas. Pamiętajmy o tem, że Francuzki z reguły odznaczają się bardzo szczupłemi nogami i figurami, więc raczej mogą sobie na to pozwolić, nasze zaś panie tak często żyją „na szerokiej stopie" i chodzą na bardziej masywnych „podstawach", to też daleko estetyczniej wyglądają w sukniach, sięgających do początków łydki, a więc długich na 35 do 40 cm. od ziemi.

Lady Like.

PRZEPISY
odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

PASZTECIKI Z KIEŁBASKAMI. 10 dkg przetartych ziemniaków gotowanych poprzedniego dnia, 10 dkg masła i 10 dkg mąki rozkrusza się na misce, następnie łączy w ciasto za pomocą 1—2 żółtek. Wywałkowane na grubość małego palca ciasto, kraje się w małe kwadraty, zawija w każdy kawałek kiełbaski, tworząc małe ruloniki otwarte na obu końcach, układa na posmarowanej masłem blaszce, i piecze w gorącym piecyku. Podaje się dobrze gorące, gdyż wystygłe nie są tak smaczne.

PASZTET Z SZYNKI W AUSZPIKU. 20 dkg szynki (mogą być okrawki od kości) przemiela się w młynku. 4 dkg masła i tyleż mąki, zasmaża się na ogniu i zalewa zaraz 1/8 litra mleka. Beszamel ten miesza się na ogniu na gładką masę, dodaje zmieloną szynkę, szklankę rozpuszczonego auszpiku, kieliszek madery, szczyptę pieprzu oraz 4 łyżki dobrze ubitej śmietanki kremowej. Formę pasztetową wylewa się auszpikiem i zastudza, następnie nakłada się połowę masy, daje warstwę pokrajanej w plastry duszonej wątróbki z drobiu lub duszonych pieczarek, albo trufli, kładzie resztę masy, zalewa znów auszpikiem i wstawia formę do lodu. Pasztet, wyłożony na półmisek, przybiera się piklami i podaje osobno sos tatarski lub remuladowy.

KOTLETY Z SZYNKI. Grubsze plastry szynki macza się w lanem cieście sporządzonem z jaj, mąki i łyżki octu, poczem smaży się je z obu stron na rumiano. Kotlety te podawać można z szpinakiem, lub też z zieloną sałatą. W ten sam sposób przyrządzić można płatki kiełbasy lub wędzonego karczku. Proporcja jaj i mąki jest: na 1 jaje 5 dkg mąki i łyżka octu oraz łyżeczka masła.

KURA Z ROSOŁU W SOSIE CYTRYNOWYM. Starszą chudą kurę, wygotowaną na rosół, przyprawić można w poniżej podany sposób, aby z niej uczynić smaczne, prawie że wykwintne danie. Kurę wyjętą z rosołu kraje się w kawałki, układa w rondlu, podlewa paru łyżkami rosołu, dodaje kawałek skórki cytrynowej i dusi przez chwilę na kraju blachy. Łyżkę masła i mąki zasmaża się na złoty kolor, zalewa wystudzonym rosołem lub mlekiem, dorabia smak solą, cukrem i sokiem cytrynowym, zaciąga żółtkiem i zagotowuje. Sosem tym zalewa się kawałki kury podduszone poprzednio w rondlu, nie gotuje jednak więcej, tylko zostawia pod przykryciem w drugiem naczyniu z gorącą wodą, aż do podawania. Sos powinien być mocno zawiesisty, jak na ragoût. Potrawę tą podaje się otoczoną ryżem, kaszką lub francuskiemi kluseczkami.

RYBA MORSKA ZAPIEKANA. Na potrawę tę nadaje się każda ryba, tak słodkowodna, jak i morska. Należałoby jednak spopularyzować więcej rybę morską, ten cenny dar naszego morza, zdrowy, pożywny i tani. Powiedzenie „nie znoszę tego zapachu" i przejście nad używaniem ryby morskiej do porządku dziennego, nie załatwia sprawy. Jest tak wiele sposobów odwaniania i są one tak łatwe, że naprawdę warto spróbować. Np. wymytą rybę włożyć do zimnej wody, dodać kawałek węgla drzewnego, zagotować i wodę odlać wraz z węglem, następnie nalać na rybę wrzącej wody, posolić i gotować bardzo pomału pod przykryciem. Miękką wyjmuje się na ogniotrwały półmisek, kropi cytryną, otacza ryżem, tartymi ziemniaczkami lub makaronem, polewa szklanką śmietany, rozkłóconej z jajem, łyżeczką mąki i dwiema łyżkami parmezanu, posypuje bułeczką, kropi masłem i wstawia do gorącego piecyka. Zrumienioną potrawę podaje się na tym samym półmisku. W miejsce parmezanu, nie wszyscy są amatorami parmezanu, dodać można do śmietany roztartą sardelkę.

JAM (DŻEM) POMARAŃCZOWY Z GRAJPFRUTEM. Wymyć dobrze 1 duży grajpfrut, 1 dużą pomarańcz i takąż cytrynę, następnie kraje się wszystko, usuwając skrupulatnie pestki, wreszcie miele się owoce, chwytając masę na miskę porcelanową, poczem dolewa się tyle wody, aby przykryła zmielone owoce. Całą sprawę pozostawia się w spokoju do drugiego dnia, poczem gotuje się owoce z wodą przez 1 godzinę, dolewając troszkę wody, gdyby masa w trakcie gotowania zanadto gęstniała. Po godzinie gotowania przelewa się znów wszystko do porcelanowej miski, dosypuje 2 kg 25 dkg cukru grysikowego i znów odstawia na 24 godzin. Wkońcu gotuje się konserwę pół godziny do trzech kwadransów, a po zrobieniu próby, czy kropla spuszczona na talerzyk galarecieje, zlewa się gorący dżem do słoja i owiązuje po ostudzeniu.

KRUCHE TARTELETKI. 18 dkg mąki, 12 dkg masła, 3 żółtka i 3 łyżki gęstej śmietany zagniata się na ciasto i odstawia dobrze przykryte na 12 godzin w zimne miejsce. Z wywałkowanego ciasta wykrawuje się placuszki szklanką lub foremką. Z 25 dkg mączki cukrowej i 2 białek uciera się gęsty gładki lukier, którym pokrywa się połowę placuszków, poczem piecze się wszystkie na złoty kolor. Upieczone i ostudzone łączy się po dwa kwaśną marmoladą, kładąc polukrowane na wierzchu.

Sc. Ko.



PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI DLA PAŃ DOMU

Ze wszystkich gatunków rękawiczek najprędzej brudzą się t. zw. „glacé". Chcąc je raz po raz oczyścić, bierzemy szklankę mleka, do której wrzucamy sześć kropel kwasu solnego, mieszając szybko mleko, aby nie zgęstniało. Maczamy w płynie flanelę i czyścimy nią rękawiczki, rozciągając je po wyschnięciu, by nie zesztywniały.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.





Święta rzym.-kat.	Tydzień 18 **Kwiecień** Dni 30
Niedziela **30** Katarzyny Sen.	Bulion w filiżankach z żółtkiem. Paszteciki z kiełbaskami. Pieczone gołąbki nadziewane. Zielona sałata. Kruche tarteletki. Kolacja: Szynka w auszpiku.
	Maj
Poniedziałek **1** Filipa, Jakuba	Zupa szczawiowa z ryżem. Salsefia w sosie holenderskim. Karbonadle siekane z sałatą z kapusty czerwonej z fasolką. Kompot z rabarb. Kolacja: Kotlety z szynki w cieście z sał.
Wtorek **2** Zygmunta kr.	Rosół z kaszką krajaną. Sztuka mięsa z sosem szczypiórkowym. Kura z rosołu w sosie cytrynowym. Omlet biszkoptowy z sokiem. Kolacja: Sadzone jaja na szpinaku.
Środa **3** Konst. 3 Maja	Pomidorówka na śmietanie z ryżem. Fasolka z puszki z masłem lub suszona, na kwaśno z krokietkami. Pieczeń cielęca od nerki z marchewką. Kisiel owocowy z śmietanką. Kolacja: Parówki z chrzanem.
Czwartek **4** Floriana	Zupa koperkowa z perłówką. Rizotto z groszkiem lub grzybkami. Polędwica wieprzowa z sałatką jarzynową. Kruchy placek z rabarbarem. Kolacja: Płatki z szynką.
Piątek **5** Piusa V p.	Zupa grzybowa z płatkami. Jaja w koszulkach w sosie śmietanowym. Ryba morska zapiekana w beszamelu. Strudel z makiem. Kolacja: Omlet naturalny z grzybami.
Sobota **6** Jana w Ol.	Zupa ogórkowa z ziemniakiem. Kruszka cielęce osmażane. Kotlety wieprzowe duszone w kapuście. Sernik. Kolacja: Jajecznica na kiełbasie.

HOCKI-KLOCKI

IRONJA LOSU.



Gdy rozbitek znajduje w pobliżu wyspy paczkę z nożykami do golenia...

„Esquire".

Rozwiązanie z Nru 17-go.

KAWAŁEK LODU.

$^{9}/_{10}$ lodu.

SAMOCHODY I MOTOCYKLE.

W remoncie było 10 samochodów i 30 motocykli.

BRIDGE.

Niechaj A = admirał. B = hr. Bidowski, C = pułkownik, D = sędzia.

A zatem

1) A i D wygrywają 1.100 przeciw B i C
2) B i D wygrywają 800 przeciw A i C
3) C i D wygrywają 900 przeciw A i B
4) A i D wygrywają 400 przeciw B i C
5) A i C wygrywają 1.700 przeciw B i D

Wyniki:
A wygrywa 1.500
D wygrywa 1.500
C wygrywa 300
B traci 3.300.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

OJCIEC I SYN.

Ojciec jest pięć razy starszy od syna, a za 15 lat będzie starszy od niego już tylko dwukrotnie. Ile ojciec ma lat?

KOBIETA I WIOSNA.



— Patrz, najdroższy, pierwsze kwiatki! Już mamy wiosnę!

„Le Rire".

DRZWI.

W domu są trzy pary drzwi i troje ludzi chce wejść do domu. Wszyscy wchodzą równocześnie i każdy wchodzi innemi drzwiami.

Ile jest możliwych sposobów, którymi ci ludzie mogą wejść do domu (oczywiście przez drzwi tylko).

LITERY I LICZBY.

```
    A A A           C C C D : A = A B D
+   B B B
C   C C D
```

Po dodaniu do A A A, B B B otrzymamy sumę C C C D. Jeśli sumę tę podzielimy przez A, wówczas otrzymamy A B D. Proponujemy Czytelnikom zrobić odpowiedniki liczbowe dla wyżej wymienionych liter.

Dokończenie ze str. 24-tej.

gwarem ludzkim. Kilkanaście par tańczyło na okrągłej gwieździe posadzki w środku sali. Muzyka grała coraz głośniej a dwa stoły wtórowały rytmowi muzyki głośnem klaskaniem.

Powoli cała ta sala, goście na pół pijani, krzyczący, hałasujący, to powietrze, przesiąknięte dymem papierosów i alkoholem, cała ta atmosfera „Arizony" z jej lampionami, szychem, fałszywą elegancją przedmiejską, stawała się koszmarnym obrazem, który przypominał Dorze całe jej krótkie, ale jakże ciężkie życie, jej ucieczkę z domu, pierwsze uniesienia w uzyskanej „wolności", pierwsze rozczarowania.

Objął ją ramieniem i mówił, patrząc jej w oczy:

— Nie myśl, że chcę czegoś od ciebie. Lubię cię bardzo i współczuję z tobą, nic więcej. I rozumiem twoje zmartwienie, bo sam przechodziłem przez piekło na ziemi. I wierz mi, że jeżeli chcę ci pomóc, to zupełnie bezinteresownie. Nie! Przepraszam! Właściwie jestem egoistą, chcę być lepszy, bardziej wartościowy, aby mieć tem większe prawo potępienia tych, którzy mi dokuczyli i zniszczyli moje szczęście. Chcę nabrać przez dobry uczynek wiary w siebie, chcę wiedzieć, że jednak ja miałem rację, a nie oni. Więc jestem egoistą... Wydobędę cię stąd... Wyjedziesz! Znajdę ci pracę, będziesz niezależna, uczciwa, dobra, życie ci się ułoży, i czasem może, przypomnisz sobie tego warjata, który pewnego wieczoru w „Arizonie", wśród zgiełku pijaków i łobuzów, mówił ci takie śmieszne, górnolotne rzeczy! Chcesz stąd się wydostać?

Odjęła od oczu chusteczkę i popatrzyła na niego lśniącemi od łez oczami.

— Dlaczegoś taki dobry? Ty pierwszy mówisz do mnie takie rzeczy. Ten list mnie dobił: jeżeli on nie był wart miłości, to już nikogo niema!

— Kanalją był i nic więcej! Nie znam tej historji, ale znam inne, takie same, wszystkie takie same. Ludzie są mało oryginalni. Podłe uczynki są bliźniaczo podobne. Tylko dobre są oryginalne, bo są tak rzadkie...

— Chce mnie pan wyrwać z „Arizony"? — pytała jeszcze niedowierzająco.

— Z „Arizony" i z wszystkich innych. Nie byłbym się panią zajął, gdybym sam nie był skrzywdzony, ale tak, jesteśmy kolegami! — roześmiał się gorzko. — Napijmy się za zdrowie naszego nowego życia: dwoje ludzi będzie szczęśliwych! No, trąćmy się, Doro! — wyciągnął rękę z kieliszkiem wina.

Objęła go za szyję i pocałowała nieśmiało.

—Przyjaźń zapieczętowana! — zaśmiał się. — I mam teraz pewno karminowe wargi!

Wzięła teraz chusteczkę do nosa i poczęła ścierać mu kredkę z ust. — Przejdźmy się! — zapukał pierścionkiem w szklankę. — Rachunek!

Po chwili wyszła na ulicę. Było już po deszczu. Chłodno nieco i trotuary błyszczały w świetle latarni.

Przystanęli, jakby zauważyli coś, dotąd niewidzianego. Młody człowiek odetchnął głęboko.

— Co za powietrze! — rzekł. — Lepsze jak w „Arizonie", co?

Uśmiechnęła się.

— O tak! — odparła z przekonaniem.

DLA BIBLJOFILÓW:

Gdy jakieś sześć miesięcy temu pisaliśmy na tem miejscu o wznowieniu wydawnictwa „Silva Rerum", zaznaczając, że napewno stanie ono na tym poziomie, jaki posiadało poprzednio, opieraliśmy się jedynie na kryterjum współpracowników wydawnictwa, którzy dawali rękojmię dobroci perjodyku, poświęconego sprawom bibljofilstwa. Wkrótce przekonaliśmy się, że przepowiednie nasze nie były lekkomyślne i sprawdziły się w pełni: dotychczas wydanych pięć numerów świadczy o wielkiej pieczołowitości, z jaką wszyscy współpracownicy starają się trzymać pismo na poziomie nie tylko zachodnio-europejskim, ale mogącym zadowolić najbardziej wymagających. Zarówno tekstowo, jak też ilustracyjnie „Silva Rerum" daje niezwykle dużo ciekawego materjału ze wszystkich dziedzin bibljofilstwa. Powoli naokoło redakcji „Silva Rerum" poczyna się skupiać ruch miłośników książki w jego najrozmaitszych odmianach. Do wysoce



Sygnet drukarni A. S. Załuskiego („Silva Rerum" nr. 5).

szczęśliwych i udanych pomysłów należy, nawiasem mówiąc, zainicjowany przez dyrektora Klemensiewicza konkurs na exlibrisy, dla Związku Legjonistów w Krakowie, dający wcale ciekawe i oryginalne wyniki. Akcja taka ożywia bezwątpienia w wysokim stopniu życie bibljofilskie, wydobywając nowe nazwiska i nowe talenty.

JGM.



Jacek Malczewski: Exlibris („Silva Rerum" nr 5).

TO CO NAJCELNIEJSZE

IDZIEMY DO TEATRU...

...na Śląsku:

— na przedstawienia teatru im. St. Wyspiańskiego z Katowic, który gra obecnie we wszystkich większych miejscowościach Śląska dramat Stefana Żeromskiego **„Ponad śnieg bielszym się stanę"**, wy-



Scena z „Ponad śnieg" Żeromskiego w teatrze im. Wyspiańskiego w Katowicach. Na zdjęciu: W. Siemaszkowa i Z. Tokarski.

stawiony w związku z jubileuszem 50-lecia pracy artystycznej znakomitej artystki Wandy Siemaszkowej. Wielka artystka, której działalności poświęcimy wkrótce osobne omówienie, przygotowała sztukę Żeromskiego z niezwykłą pieczołowitością. Warto przypomnieć, że Stefan Żeromski po napisaniu wspomnianego dramatu prosił artystkę o objęcie na prapremjerze warszawskiej roli Rudomskiej, w której Siemaszkowa daje doskonałą kreację. Przypomina ją obecnie w przedstawieniach teatru katowickiego. Obok wielkiej artystki i pod jej kierunkiem wszyscy wykonawcy grają niezwykle starannie: nazwiska ich: Kwiatkowska, Grzębska, Tokarski, Godlewski, Kostrzewski i Kassowski.

...we Lwowie:

— do Teatru Wielkiego, który przygotował świetną komedję Morstina **„Obrona Ksantypy"**, pod kierunkiem reżyserskim E. Wiercińskiego, oraz głęboki dramat Wildera **„Nasze miasto"** w opracowaniu Leona Schillera. W „Obronie Ksantypy" doskonałą kreację aktorską w roli tytułowej stworzyła T. Suchecka, a bardzo interesująco postać Sokratesa zagrał młody aktor W. Klecki. Kapitalnym Tyreuszem jest M. Węgrzyn, a Charmidesa gra R. Hierowski.

Inscenizacja sztuki amerykańskiej Th. Wildera „Nasze Miasto" jest — jak stwierdza krytyk M. Piszczkowski — nowym triumfem genjuszu reżyserskiego Leona Schillera. „Dekoracje — sprowadzone do minimum — usystemizował Różański, muzykę i chóry o-



Scena z komedji „Mała Kitty i wielka polityka" w Teatrze Miejskim w Wilnie. Na zdjęciu: W. Nawrocka i W. Surzyński.

pracowano z pietyzmem, sceny zbiorowe, wspaniałe grupowanie osób wypadło sugestywnie, jakkolwiek były też pewne męczące dłużyzny. Gra zespołowa bez zarzutu". Ten sam krytyk wyróżnia szczególnie Krasnowieckiego w roli dyrektora teatru, Helenę Billing, która posiada talent dramatyczny o szerokiej skali i dużych możliwościach, oraz M. Węgrzyna.

...w Wilnie:

— do Teatru Miejskiego na Pohulance, który gra obecnie z dużem powodzeniem miłą komedję St. Donata **„Mała Kitty i wielka polityka"**, przygotowaną starannie reżysersko przez Z. Karpińskiego. W komedji tej, nasyconej najświeższemi aktualnościami, wybornie grają: Nawrocka, Buyno, Ślaska, Surzyński, Tatarski, Łodziński, Lasoń i inni.

...w Poznaniu:

— do Teatru Miejskiego, którego dyrektor W. Stoma sięgnął do eksperymentu, wystawiając trzy jednoaktówki Aleksandra Fredry. Na program złożyły się **„Pan Benet"**, **„Lita et Compagnie"** i **„Świeczka zgasła"**. Wieczór ten przyjęty został bardzo gorąco przez krytykę, która podkreśla doniosłość takiego przedstawienia i wyraża komplementy pod adresem reżysera K. Koreckiego, dekoratora Z. Szpingiera i wszystkich wykonawców.

(b)



„Obrona Ksantypy" L. H. Morstina w Teatrze Wielkim we Lwowie. Od lewej: M. Szpakiewicz (Agaton), T. Suchecka (Ksantypa), W. Staszewski (Arystodemos) i W. Klecki (Sokrates). Dekoracja M. Różańskiego.

NA POLSKIEJ ANTENIE:



Aniela Gruszecka-Nitschowa.

Radjo nie tylko służy aktualności, ale spełnia także rolę łącznika z wielkiemi tradycjami historycznemi. Radjo dąży do nieustannego wykazywania stałej łączności duchowej z poprzedniemi pokoleniami Polski, do wskrzeszenia na falach eteru najwspanialszych osiągnięć narodu. Jednym ze sposobów realizowania tych zadań będzie wkrótce cykl audycyj pt. „Wielcy hetmani", który składać się będzie z kilkunastu słuchowisk, opracowanych podobnie jak „pochodnie wieków". Cykl ten zamknięty będzie audycją o Marszałku Piłsudskim. Na polskich falach ukaże się także cykl pt. „Polska między Wschodem a Zachodem", gdzie obok momentów geograficznych i politycznych wyrażone zostaną elementy historyczne naszej niezawisłości i odrębności, jaką zawsze kulturalnie i narodowo reprezentowaliśmy. W te same nastroje wspomnień i tradycyj historycznych wprowadzi nas cykl reportaży z Muzeum Wojska Polskiego.

W najbliższych dniach kilka audycyj poświęconych będzie dwom rocznicom: uchwalenia Konstytucji 3 Maja i trzeciemu Powstaniu Śląskiemu. Z okazji święta narodowego we **wtorek** dn. 2 maja o godz. 22.05 nadane zostanie słuchowisko, opracowane przez K. Szuberta, według sztuki twórcy teatru polskiego Wojciecha Bogusławskiego pt. „Dowód wdzięczności Narodu". Sztuka ta, dedykowana przez autora królowi Stanisławowi Augustowi, grana była jedynie w Teatrze Narodowym dnia 3 września 1791 roku. Pisał w dedykacji Bogusławski: „W czasach ucisku, kiedy na Ojczyznę wszystkie uderzały przeciwności, oto masz Miłościwy Monarcho słabem piórem, ale sercem Polaka odrysowane wyobrażenie tego, co powstająca z upadku Ojczyzna czuje ku Tobie. Racz to przyjąć łaskawie nie dla wartości dzieła, ale dla szlachetności obrazu, jak Naród uwielbia ten dzień uroczysty, który mu dał Króla i Ojca. Dzień, który poświęcony Tobie, póki tylko na okręgu ziemi plemię Polaków zostanie..."

We środę, dn. 3 maja o godz. 19,20, nadany zostanie pierwszy odcinek nowej powieści mówionej pt. „Wuj kupuje auto". Autorką tej powieści jest świetna pisarka Aniela Gruszecka-Nitschowa, która w sposób żartobliwy i pełen humoru opisuje perypetje związane z kwestją kupienia auta. Dalsze odcinki powieści nadane zostaną dnia 10 i 17 maja o godz. 18.40.

Twórczości i życiu znakomitego symfonisty Zygmunta Noskowskiego poświęcona zostanie audycja radjowa **we wtorek** dn. 2 maja.



Wojciech Bogusławski.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca. — Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczenia egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji. — Zakłady Graficzne "IKC", Kraków, Wielopole 1, pod zarz. Fr. Czajki. Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1.